Nr 21. Warszawa, dnia 9 (21) Maja 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od g .z. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

SPRAWY AUSTRYACKIE.

Delegacye przerwały zwichrzone rozprawy Izby deputowanych w Radzie państwa nad urządzeniem t. zw. stosunków językowych. Czterdziestu siedmiu mówców zapisanych było jeszcze w d. 5 b. m., a nazajutrz obrady już zawieszono. Niemcy walczyli w nich o swój język ogólno-państwowy niemiecki; Słowianie trzymali się odpornie, nie z jednakową wszakże siłą, nie z jednakowymi zamiarami na przyszłość. Oświadczenie p. Jaworskiego w imieniu Koła galicyjskiego stwierdziło, dla miłej zgody, a raczej do umożliwienia jej po dzisiejszej wojnie—gotowość do podjęcia w sejmie wspólnym robót, które według tego samego wynurzenia skutecznie załatwić się dadzą tylko w sejmach. Gotowość owa obejmuje i wysłanie pełnomocników do komisyi, przez Dipaulego zaproponowanej jeszcze w gorących dniach październikowych r. z. w czasie politycznego pojedynku p. Badeniego z Wolfem. Wrażenie całego tego objawu, który organ swój znalazł w p. Jaworskim, z początku, dzięki zastrzeżeniu praw autonomicznych, było dodatnie, charakter ten atoli prędko tracić zaczęło, gdy w Kole wystąpiły symptomata patologiczne, pozwalające określić jego chorobę jako wahanie się, dwulicowość, a nawet przeniewierstwo.

Gdy mówimy o „Kole,“ mamy na myśli prasę, ulegającą pewnemu jego odłamowi i głosy tej prasy, wychodzące z umysłów w niem najruchliwszych, największą obdarzonych energią, a należących do tego ze stronnictw galicyjskich, które dotychczas życiu wewnętrznemu prowincyi i jej stosunkom do innych zbiorowości monarchii austryackiej wytykało najlepsze, bo najżywotniejsze, najtrwalsze, najgłębiej w przyszłość sięgające zasady. W stronnictwie tem zaczyna się teraz dokonywać przewrót, a jego symptomata właśnie nazwano tu patologicznymi. Takimi są one w rzeczywistości. Gdy na demokracyi na miejsce zasad, kierujących funkcyą i czynem, wstępuje apetyt, sięgający po korzyść; gdy wiarę w pewną myśl twórczą a stałą, logicznie poręczającą przyszłość, wypiera interes obliczony na dziś, na najbliższe zaledwie jutro, a zależny od zbiegu szczęśliwych okoliczności; gdy umysły zbaczają z gościńca swych logicznych przymierzy, aby na prawo i na lewo chwytać, co się da i jak się da, choćby od najzaciętszych przeciwników: już ta demokracya spełnia samobójczy na siebie zamach, wyzbywa się tego, co jest w każdej istocie, czy przez przyrodę, czy przez życie społeczne człowieka wytworzonej najdroższem— treści swej własnej, samej siebie.

Takiego samobójstwa właśnie dopuszcza się obecnie, i do samobójstwa takiego kraj cały, uważany jako część państwowo-organiczna Austryi, zachęca demokratyczny odcień Koła galicyjskiego w Wiedniu, o ile przekonania jego znajdują dla siebie powolne usta w dzienniku należącym do pp. Rutowskiego i Szczepanowskiego. Są to dwaj ludzie wybitni: pierwszy gruntownie kraj znający, statystykę jego rozumną, rozumowaną jakby nawskroś przejęty, a z trzeźwością łączący doświadczenie i umiejętność działania; drugi w młodości obdarzony tą zdolnością do radykalnego poglądu na życie publiczne i radykalnych w niem dążeń, która tylko pod działaniem życia prywatnego, prywatnych osobistych interesów obumrzeć w nim mogła, i zdaje się, że już obumarła — dziś wszakże jeszcze człowiek z okiem otwartem na rzecz publiczną, z czystą wolą i dobrą chęcią czynu. I w dzienniku kierowanym przez takich ludzi, redagowanym przez Romanowicza, pojawiają się teraz artykuły, które z owego oświadczenia Koła w wiedeńskiej Radzie państwa niby nic nie zostawiły, prócz pustych dźwięków, gdyby to, co ludzie ci wypisują, nie było jedynie chwilowem tylko majaczeniem!

Nic nie pomoże wypieranie się kroków już postawionych, nic— prostowanie ścieżek, po których się je stawiało: słowa są wyraźne, myśli jasne, choć niedopowiedziane. Z Czechami iść niebezpiecznie — rozumują ci politycy — bez Niemców Austryą rządzić niepodobna: trzeba się namyśleć. Niebezpieczeństwo grożące od Czechów tkwi w ich wygórowanych wymaganiach; trzeba ich wezwać do powściągliwości w federalizmie, a jeśli nie usłuchają... wtedy co? Odpowiedź—wzdanie, że bez Niemców rządzić niepodobna. Po takiej drodze dojść można tylko do zupełnego zbiegowstwa z prawicy i z federalizmu i w końcu z samej autonomii. Dziecinnym musiałby być dziś umysł, coby, opierając się na dawnych faktach i oświadczeniach niemieckich, spokojnym był o samodzielność Galicyi po odniesieniu zwycięztwa przez Niemców, którzy Austryakami już być przestali, a Cezaro-Niemcami jeszcze nie są, jeśli zaś utrzyma się Austrya i oni w niej, przodownictwom tylko, przewagą i centralizmem czeluści głodu swego zapchać mogą. Nie, nie polityka oportunizmu i utylitaryzmu na chwilę bieżącą, ale polityka pożytku, wynikającego z zasad dobrych na dziś i na najdalsze jutro zapewnić zdoła przyszłość: a taką polityką zarówno dla demokracyi, jak dla obozów umiarkowanych, może być dziś tylko ta, która nakazuje iść ręka w rękę z wszystkimi ludami słowiańskimi, a przedewszystkiem z Czechami. Owo niebezpieczeństwo zniknie, gdy zespolenie sił stanie się rzeczywistem, zasadniczem, wzajemnością trwałych inte-

resów podtrzymywanem. Niema namysłu i wyboru: kto dziś z Niemcami walczyć nie chce, ten jutro pod jarzmo ich pójdzie.

Petersburg 11-go maja. Ogłoszono następujący komunikat rządowy:

„Od czasu ukończenia wojny chińsko-japońskiej wszystkie dążenia rządu Cesarskiego zmierzały ku zabezpieczeniu nietykalności i całkowitej niezależności Korei. Zrazu, celem zaprowadzenia trwałego porządku w zakresie polityki zarówno wojskowej, jak finansowej, młode państwo nie mogło, oczywiście, obyć się bez poparcia postronnego, skutkiem czego w r. 1896-ym król koreański zwrócił się do Cesarza Rosyjskiego z usilną prośbą o przysłanie do Seulu instruktorów rosyjskich i radcy finansowego. Dzięki udzielonej w porę pomocy rosyjskiej, Korea weszła teraz na drogę całkiem samodzielnego zarządu państwowego. Okoliczność ta nastręczyła Rosyi i Japonii możność przystąpienia do przyjacielskiej wymiany poglądów celem jasnego i ścisłego określenia stosunków wzajemnych tych mocarstw do nowo wytworzonego stanu rzeczy na półwyspie Koreańskim. Wynikiem owych porozumień jest podpisany, z mocy rozkazu Najwyższego, przez naszego posła w Tokio, układ poniższy, stanowiący ciąg dalszy protokułu moskiewskiego z 1896-go r.

W zasadniczej treści zawartego układu obadwa państwa ostatecznie potwierdzają uznanie praw państwowych i zupełnej niepodległości cesarstwa koreańskiego, obowiązując się wzajem do powściągania się od wszelkiego mieszania się do spraw wewnętrznych tego kraju. Na wypadek zaś, gdyby zachodziła potrzeba poparcia Korei przez jedno z państw układających się, natenczas Rosya i Japonia zobowiązują się nie przedsiębrać w Korei żadnych środków bez uprzedniego pomiędzy sobą porozumienia.

Protokół brzmi tak:

Rzeczywisty radca stanu i szambelan, baron Rosen, poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny Jego Cesarskiej Mości Cesarza Wszech Rosyi, i bar. Nissi, minister spraw zagranicznych Jego Cesarskiej Mości Cesarza Japonii, zasadzając się na art. 4 protokółu, podpisanego w Moskwie d. 28-go maja roku 1896-go przez sekretarza stanu ks. Łobanowa i marszałka margrabiego Jamagatę, i będąc potemu, jak należy, upełnomocnieni, umówili pomiędzy sobą następujące artykuły:

Art. 1. Rządy Cesarskie rosyjski i japoński ostatecznie uznają prawa państwowe i całkowitą niezależność Korei i obowiązują się wzajem powstrzymywać się od wszelkiego bezpośredniego mieszania się do spraw wewnętrznych tego kraju.

Art. 2. Pragnąc uniknąć jakiegokolwiek powodu nieporozumień na przyszłość, rządy Cesarskie rosyjski i japoński obowiązują się wzajemnie, na wypadek, jeżeli Korea zwróci się po radę i pomoc do Rosyi lub Japonii, nie przedsiębrać żadnych środków ku mianowaniu instruktorów wojskowych i radców finansowych bez uprzedniego pomiędzy sobą porozumienia się w tej mierze.

Art. 3. Wobec szerokiego rozwoju japońskich przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych w Korei i sporej liczby poddanych japońskich, zamieszkujących ten kraj, rząd Cesarsko-rosyjski nie będzie przeszkadzał rozwojowi stosunków handlowych i przemysłowych pomiędzy Japonią i Koreą.

Spisano w dwu egzemplarzach w Tokio, dnia 13 kwietnia 1898 roku. Podpisali: *Rosen, Nissi.*

Wyłuszczony akt dyplomatyczny świadczy zatem, że oba państwa zaprzyjaźnione, mające rozległe, lecz zarazem zupełnie dające się pogodzić interesy na dalekim Wschodzie, przyszły do naturalnego przeświadczenia o konieczności zapewnienia sobie spokoju na sąsiednim półwyspie Koreańskim, obwarowując niezależność polityczną i ład wewnętrzny młodego Cesarstwa Koreańskiego.

Z zawarciem niniejszego układu przyjaznego Rosya zyskuje możność skupienia wszystkich trosk i usiłowań ku pomyślnemu ziszczeniu swego pokojowego posłannictwa dziejowego na brzegach oceanu Spokojnego."

Tydzień polityczny. Amerykanie zbombardowali San Juan na Portorico, w d. 11 b. m.; nie zajęli go, zrządzili tylko wiele szkód. Ostrzeliwali też różne punkta na Kubie. Flocie hiszpańskiej, przez umyślnie bałamucące telegramy madryckie posłanej z powrotem do Kadyksu, udało się po wyruszeniu z pod wysp de Cabo Verde wpłynąć na morze Karaibskie i tam połączyć się z okrętami wód południowej Ameryki: jest to rzeczywista korzyść, więcej warta od bombardowań amerykańskich. Wyprawa na Kubę jeszcze się nie wybrała.

Sagasta podał się do dymisyi; królowa poleciła mu utworzenie nowego gabinetu.

P. Gołuchowski miał d 12 b. m. swoje *exposé* w delegacyi austryackiej, w jej komisyi budżetowej; oświadczenia cesarza uzupełnił wzmianką o przymierzu; dodał obszerny wywód o handlu, przyszłości i polityce handlowej, o obowiązkach kapitału i energii austryackiej. Niemcy w delegacyi poczynili zasadnicze zastrzeżenia. Kredyt minist. zagr. uchwalono.

Salisbury po powrocie z Riviery miał wykład o rasach z powodu Anglii, którą uspokoił o jej przyszłość. Chamberlain zagroził Europie przymierzem ze Stanami Zjednoczonymi. Prasa kontynentalna wpadła w gniew. Gniewa ją też widmo wysp Filipińskich w rękach amerykańskich.

Ks. Henryk pruski, pierwszy ze śmiertelnych, dostąpił zaszczytu siedzenia obok bogdychana w Pekinie. Niemcy robią interesa szybko. Z Kiao-czau za kilka lat wyrośnie duża kolonia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PRACOWNICY APTEKARSCY.

Właściciele aptek warszawskich, kierując się zwykłem sobkostwem i korzyściami osobistemi, zapomnieli, że ich pracownicy mają te same prawa do korzystania z dobrodziejstw cywilizacyi dzisiejszej, co i oni. Zapomnieli, że organizmy ich pracowników są z tej samej gliny ulepione i żeby normalnie mogły działać, powinny się znajdować we właściwych dla siebie warunkach. Pracownicy aptek nie mogli się poszczycić dbałością o ich zdrowie, nie mówiąc o potrzebach moralnych, które wprost były wykluczone. Czyż może być co naturalniejszego nad chęć wypoczynku w czystym pokoju po całodziennej wyczerpującej pracy w aptece, albo zmniejszenie ilości 16 godzin pracy dziennej do 12, lub wreszcie zmiany t. zw. „życia" na pieniądze i tym sposobem unormowania płacy miesięcznej? Właściciele aptek, zsolidaryzo-

---

53)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Pieśni katorgi.

Znamienne to, że nawet straszna długi katorga syberyjska, ponura, surowa — stworzyła pieśni swoje. Nie posiada ich tylko Sachalin.

Żegnaj nam Odeso,
Wspaniała przystani;
Hen aż na Sachalin
Jedziemy wygnani...

Zdaje się, to jedyna piosnka, stworzona w katordze sachalińskiej; ale i ta prawie nie bywa śpiewana. W syberyjskich ciężkich robotach panował pewien odcień, coś takiego, co się dało wypowiedzieć w pieśni. Na Sachalinie nawet tego niema. Taka straszna proza dokoła, że w piosnce odtworzyć jej niepodobna. Nawet furmani, ci dawni śpiewacy i żartownisie, i ci w milczeniu zupełnem popędzają trójkę małych lecz rączych koni sachalińskich. Słowem siedzą, jak woźnica na karawanie. Chyba tylko gdy koń na przyprzążce bywa niesforny, furman wtedy zawoła:

— No, no, ty katorżny!

I znowu milczy uparcie przez całą drogę. Tu się nie śpiewa.

— Na sercu ciężko! — mówią katorżnicy i osiedleńcy.

— Nie do piosnki na Sachalinie nawet człowiekowi wolnemu. Pamiętam, w jakiś dzień świąteczny z bramy koszar wyszedł żołnierz konwojowy. Podochocił się widocznie z powodu święta. Trzyma coś w rękach i śpiewa na całe gardło. Ale cóż to za piosnka! Krzyk, lament, jęk. Jak gdyby się zanosił człowiek „z bólu zęba w duszy." Nie znać wcale, że to jest wyrażenie nastroju radosnego. Pomyśleć można, że zarzynają kogoś. Jakże inaczej śpiewać, gdy przed oczami turma, a naokoło niej ponuro, jak cień, chodzi stary oprawca, Komlew?

— Po coś tu przyszedł?

— Słyszałem, że wieszać będą. Myślę tedy: trzy ruble zarobię. Beze mnie nikt nie poradzi.

W więzieniu śpiewają rzadko.

Słyszałem pewnego razu śpiew w „rykowskiej kajdanowej."

Było to nad wieczorem. Przegląd skończono; aresztantów zamknięto w celach. Przedstawiciele władzy poszli do domu. Na podwórzu więziennem zapanowała pustka. Dozorcy usadowili się w swoich kątach. Mrok wieczorny nadchodzi i oto wkrótce zapanują ciemności zupełne. Idę przez podwórze, wtem stanąłem jak wryty. Co to, jęk? Nie; to śpiewają!

Kajdaniarze z nudów śpiewają pieśń włóczęgów syberyjskich — „Miłosierną"... Ale cóż to był za śpiew! Jak pogrzebowy! Jak modlitwa nad konającym, która wybiega z turmy przez okna zakratowane w przestrzeń ciemną; modlitwa nad żywcem pogrzebanymi tam ludźmi. Jakiś ciężar przygniatał duszę.

Słynie śród aresztantów, jako śpiewak, stary włóczęga Szuszakow, we wsi Derbinskoje. Odnalazłem go w nadziei, że coś usłyszę. Ale on nie śpiewa pieśni więziennych; mówi o nich ze wstrętem.

— Takiem paskudztwem ust kalać nie będę. Ale co umiem, to zaśpiewam.

Śpiewa tenorem, trochę starczym, ale jeszcze dźwięcznym. Śpiewa smutny, oparty na ręku. Śpiewa piosnki swoich dalekich stron rodzinnych, może rysując w pamięci dom, swoich bliźnich, dzieci. Umknął z Sachalinu, szedł dwa lata „imieniem Chrystusa." Dotarł do domu; lato całe przemieszkał tam z dziećmi, a potem pojmano go i oto już szesnaście lat jest na katordze. Śpiewa smutne, przeciągłe, tęskne pieśni wsi rodzinnej. Płakać się chce, słuchając. Serce się ściska!

— Dosyć, starcze!

Macha ręką.

— Ach, panie! Człowiek zaśpiewa i zamyśli się!

To nie człowiek — to „niedola śpiewa"!

Katorga ma jednak swoje ulubione pieśni. Coraz bardziej rozwijająca się oświa-

wani w jedną całość, która szumnie nosi nazwę Warszawskiego Towarzystwa farmaceutycznego, a właściwie jest tylko syndykatem kapitalistycznym, mając za sobą przewagę kapitału, ufni w swą siłę, uważali za najodpowiedniejsze strzedz kultu tradycyi. Nie przywiązując zbyt wielkiej wagi do ruchu postępowego całej rzeszy pracowników, nie wierzyli jednocześnie w solidarność między jednostkami, które ją stanowiły. Syndykat zaś swój uważali za twierdzę tak niezdobytą, że dopiero widmo zmowy, które jak miecz Damoklesa zawisło nad głowami właścicieli, zmusiło ich do sypania szańców obronnych i bicia na alarm."

Tak przemówił w imieniu pracowników aptekarskich ich organ, *Przegląd Farmaceutyczny.* Protest zaś ten wywołał przepełnienie miary wyzysku, uprawianego przez przedsiębiorców aptekarskich od lat wielu. Dola farmaceutów stała się dziś przysłowiową. Pracują oni niemal na warunkach poddaństwa u właściciel aptek, oddają im siły, zdrowie, a nieraz i życie. Obdzieranie ludzi z tych przywilejów istnienia na naszym padole ziemskim rozwielmożniło się tak daleco, że można byłoby zaliczyć czyny te do kryminalnych. A jednak rabunek taki prowadzono dotąd w dzień biały i noc ciemną bezkarnie. Na posiedzeniach Towarzystwa farmaceutycznego rozprawiano o sposobach zwiększenia dochodów, ale nigdy nie było mowy o naprawie warunków bytu pracowników i zmniejszenia ciężarów, włożonych na ich barki. Dopiero od kilku miesięcy ta groszodajna sfera przedsiębiorstwa stała się widownią znamiennych utarczek i targów. Po długiej obronie warowni — Towarzystwa farmaceutycznego, nareszcie dopuszczono do niej trzech posłów, przedstawicieli pracowników, z wyłuszczeniem żądań ogółu. W drodze łaski pozwolono zwołać zebranie pracowników w celu dokonania wyborów i utworzenia komisyi z ich łona do wspólnych narad z zarządem Towarzystwa nad wnioskami, przedstawionymi zarobkodawcom. Komisyę tę miało składać 20 przedstawicieli, po 10 z każdej strony. Ale oto na zebraniu w marcu oznajmiono pracownikom, że wolno im dać tylko trzech delegatów. Oczywiście zaprotestowano przeciwko temu nowemu objawowi „sprawiedliwości" panów właścicieli. Ostatecznie postanowiono wybrać po pięciu delegatów z każdej strony, prócz tego przedsiębiorcy powołali do swych szeregów zasiłek z prowincyi: czterech właścicieli aptek, ale ani jednego ich pracownika. Na posiedzeniu tej komisyi, które się odbyło d. 2 i 3 kwietnia, delegaci przedstawili następujące żądania ogółu towarzyszy, ogłoszone następnie w *Przeglądzie Farmaceutycznym*: 1) Dzień roboczy 12-godzinny przyjmuje się za zasadę z przerwą 2-godzinną na obiad. Dzień liczyć się winien od g. 9-ej rano do 9-ej wieczorem. 2) Zniesienie dyżurów nocnych dla pracujących w dzień i zaprowadzenie specyalnych dyżurantów. Czuwanie nocne trwać ma od 9-ej wieczorem do 9-ej rano. 3) Wychodnie dwa razy na tydzień od 2-ej po południu i co drugie święto cały dzień. 4) Zamiana mieszkania i „życia" na pieniądze; przyczem za normę uważać należy rs. 30 miesięcznie. 5) Urlopy: po roku — dwa tygodnie, po dwu i więcej — miesiąc. 6) Kształcenie i wychowanie uczniów.

Przedstawiciele właścicieli aptek uznali te żądania za słuszne, ale zasłonili się przeciwko zmorze sprawiedliwości brakiem upoważnienia do postanowień. Cały wynik narad i gwałtownych utarczek zamknięto w następującym protokóle: „Delegacya Towarzystwa farmaceutycznego warszawskiego, po dokładnem rozpatrzeniu żądań jej przedstawionych od imienia pracujących w aptekach warszawskich, a zamkniętych w wyżej wyłuszczonych paragrafach, przyszła do wniosków: 1) Pożądanem jest, ażeby w granicach możliwości, zależnej w każdej aptece od miejscowych warunków, zaprowadzić okres pracy dwunastogodzinny. 2) Aby farmaceuta, pełniący dyżur nocny w aptekach, gdzie nocna czynność wymaga czuwania, miał odpowiednie odszkodowanie w porze dziennej. 3) Aby o ile możności mieszkanie i stołowanie w naturze zamienić na odpowiednie wynagrodzenie pieniężne, przyczem o ile warunki miejscowe pozwolą, pracujący mogą obiadować na mieście, zamieszkiwać zaś powinni w tym domu lub w najbliższem sąsiedztwie. 4) Wychodnie i urlopy pozostawia się ściśle osobistemu porozumieniu stron interesowanych."

Cały ten protokół, jak widzimy, stanowi znamienny dokument. Jest w nim wszystko, czego się tylko spodziewać można od panów aptekarzy i co ich wybornie cechuje, niema tylko poczucia słuszności. Omotali frazesami swoją dawną taktykę i polecili kolegom „wprowadzenie *możliwych* zmian," które mają polegać na: „ściśle osobistem porozumieniu stron interesowych, zadośćuczynieniu żądaniom „o ile warunki miejscowe pozwolą," „w granicach możliwości." Te granice — to właściwie szańce, po za którymi przedsiębiorcy postanowili ukryć spokojnie siebie i swoje sumienie. „Chcielibyśmy lecz nie możemy!" Przypuszczali, że tym frazesem zaspokoją istotne potrzeby życia tych, którzy im złożyli za lichą płacę strawę i kąt psi — swoje siły i zdrowie. Niektórzy usiłowali swój wyzysk upozorować stosunkami rodzinnymi: „Mam długi, więc nie mogę uwzględnić waszych żądań." A dalej frazes urwany można dokończyć: „Niech wasza praca, prawie darma, oczyszcza moją hypotekę!" Byli tacy, którzy dla uspokojenia interesowanych rzucili obietnicę i gdy sądzili, że solidarność słusznych wymagań już prysła, cofnęli przyrzeczenia.

---

ta śród ludu, widoczną jest w pewnej mierze i na Sachalinie. W katordze wielce są rozpowszechnione piosnki „książkowe." Do duszy skazańców najbardziej przemawia poeta ludowy. Częściej, niż inne, można usłyszeć: „To nie wiatr gałązkę schylа," „Dolę biedaka," „Gałązkę biedną" — wszystko wiersze Kolcowa.

Razu pewnego jechałem konno. Nieopodal drogi osiedleniec motyką kopie nowinę i potem oblany śpiewa pieśń Niekrasowa: „U paradnawo podjezda," jak zwykle śpiewają — na nutę z „Lukrecyi Borgia."

— Słuchaj! Tyś za co?

— Z powodu podejrzenia o rabunek i morderstwo, jaśnie wielmożny panie.

— Cóż tak śpiewasz tę piosnkę? Podoba ci się, czy co?

— Nie sobie! Przejmuje!

— Gdzież jej się nauczyłeś?

— W więzieniu siedząc.

Zdarzyło mi się ze dwa razy usłyszeć: „Dobrze było Wańce spać" — przeróbkę Niekrasowa „Korebiejnikow."

— Czyś ją gdzie przeczytał? — spytałem śpiewającego mi szewca, Alfimowa.

— Nie! W więzieniu nauczyłem się.

Z pieśni czysto ludowych skazańcy rzadko kiedy śpiewają: „Śród dolin równych" i wolą trawestacyę, dokonaną w katordze: „Śród kłody Daniły."

Bezmyślne i cyniczne piosnki, jak wogóle wszystkie, rzadko śpiewają.

Pomiędzy innemi skazańcy lubią małoruską:

Sonce nyzeńko,
Weczer błyzeńko.

Lubią za jej zwrotkę, śpiewaną dziarsko, z przygwizdywaniem i pokrzykiwaniem, uderzaniem w łyżki „dyscyplinarnych," którzy byli ongi śpiewakami w pułku, z akompaniamentem połajanek, płynących z ust słuchaczów.

Prawie każdy katorżnik zna i śpiewa częściej, niż inne, bardzo miłą piosenkę:

Wieczorkiem hoża dziewczyna
Do stawu po gęsi szła...

ze zwrotką:

Hylu, hylu, hylu
Gąski me do domu!

Piosnka ta się podoba również z powodu zwrotki. Pamiętam pewnego młodzieńca, który się dostał do katorgi za jakiś niewielki rabunek. Z całym zapałem śpiewał: „Hylu, hylu, hylu!" Lica mu pałały rumieńcem, oczy błyszczały, na twarzy malowało się „zupełne zadowolenie," jak gdyby wyraźnie widział znany wybornie obraz wsi rodzinnej.

Bardzo jest rozpowszechniona i również często śpiewana piosnka sentymentalna:

Gwiazdeczko ty moja nocna...

Opowiada ona o królu, który porzucił swoje królestwo dla ukochanej dziewczyny, śpiewana zaś jest z wielkiem uczuciem.

Ale wszystkie one płyną z piersi tylko młodych skazańców („młodej katorgi") i wywołują niezadowolenie starców.

— Oto dyabli! Jest się z czego radować!

Pamiętam, jak do szalonego gniewu doprowadziła starca jedna piosnka o dziewczynie, co „gęsi do domu pędziła." Zwrotka: „hylu, hylu!" — była szczytem oburzenia.

— Będę się skarżył władzy! Nie dajecie spokoju, dyabli! — krzyczał. Taka pogróżka w katordze jest niezwykłą.

— Dlaczegóż, starcze, tak okropnie gniewa cię ta piosnka?

— A to dlatego, że nie ma po co jej śpiewać.

— Jątrzy. Tfu!

Kto wie, jakie tam wspomnienia bolesne w duszy starego włóczęgi wywołały te słowa mu znane: „hylu, hylu!"

Niewiele pieśni specyalnie więziennych przywędrowało z Syberyi na Sachalin.

Jeżeli w więzieniu jest pięciu lub sześciu starych, „jeszcze syberyjskich" włóczęgów, to się schodzą wieczorem na pogawędkę o „dobrom życiu syberyjskiem."

— „Matka-Syberya dobra, ziemia tam zła, a ludzie wściekli!"

I porwani falą wspomnień, zanucą włóczęgowską piosenkę ulubioną: „Litościwi nasi ojcowie." Śpiewają i przypominają sobie swobodę, tajgę bezgraniczną, sawatejki, surowy lecz dobry lud syberyjski.

Ostatecznie po za uchwałami komisyi, dziewięciu właścicieli aptek zgodziło się na następujące warunki. Praca dzienna ma się liczyć od 9-ej zrana do 9-ej wieczorem, z przerwą dwugodzinną na obiad. Wynagrodzenie pomocników aptekarskich ma wynosić od 60 rs., prowizorów od 75, przyczem mieszkanie i utrzymanie będzie zastąpione gotówką. Nadto pracownicy dwa razy tygodniowo korzystają z odpoczynku od godz. 3-ej po południu i co drugie święto przez cały dzień. Latem ma być zapewniony urlop kilkotygodniowy, bez potrącenia pensyi.

Prócz powyższych, jeszcze kilkunastu „skłania się do *pewnych* ustępstw,“ dwudziestu zaś stanowczo odrzuciło żądania pracowników, a nawet użyło pogróżek, jakie oburzeniem wstrząsają wrażliwe dusze ogółu myślącego. Upór ten nietylko dotyka pracowników, lecz ściśle się wiąże z interesami i bezpieczeństwem ludności. Wypadki fatalnych pomyłek w wydawaniu lekarstw są, niestety, dość częste. Śledząc je, jako pewien niedobry objaw społeczny, spostrzegliśmy, że najwięcej niebezpiecznych dla życia ludzkiego omyłek w przyrządzaniu lekarstw lub wydawaniu gotowych, popełniają te apteki, w których panuje ruch olbrzymi, nad siły personelu. Otóż dziś, dzięki powyższym ustępstwom, niebezpieczeństwo stanie się mniej groźnem, bo zgóry można będzie wiedzieć, które apteki są niepewne: Gdzie poczyniono ulgi, zapewniono możność wytchnienia, tam większa świeżość i sprawność sił daje rękojmię zupełnego bezpieczeństwa. Gdzie pozostanie wyzysk pracy i sił ludzkich w takich granicach, w jakich bezkarnie dotąd był prowadzony, tam się skupiło niebezpieczeństwo dla ogółu; bo człowiek najrzetelniejszy, najzdolniejszy i najpracowitszy, nie może ręczyć za przytomność umysłu, znużonego długą, uciążliwą pracą bez przerwy i znękanego lichymi warunkami bytu.

LISTY PETERSBURSKIE.

„Propaganda polsko-rewolucyjna.“ wykryta przez *Moskowskija Wiedomosti* przy pomocy *Przeglądu Katolickiego.*—Nieurodzaj w Cesarstwie. —Wszystkie drogi prowadzą do... „kresów.“

Obecnie spostrzegamy w prasie rosyjskiej nowy zwrot interesowania się sprawami z nad Wisły. Po różnych kwestyach politycznych natury ogólnej przyszła kolej na życie wewnętrzne społeczeństwa polskiego, na objawy społeczne w związku z politycznymi. Uwagi i szczegóły tego rodzaju bywają różnej wartości. Ich zaś oświetlenie i zestawienie zależy od osobistych zapatrywań i dążności korespondentów. Często redakcye na podstawie tego materyału i poglądów wysnuwają własne wnioski. Obecnie pewnemu odłamowi prasy przybywa nowy materyał, dostarczony przez te organy prasy naszej, które stanęły „na straży cnot i prawowierności narodu“ i chcąc z niego zdmuchnąć kurz, plują swoją śliną zjadliwą; chcąc odpędzić straszydła własnej wyobraźni, rzucają błotem na społeczeństwo swoje. Na takim właśnie materyale, złożonym z kłamstwa i oszczerstwa *Przeglądu Katolickiego*, pisma rosyjskie nam wrogie, nie przestają opierać swych wniosków znamiennych i tego fałszu uświęcać.

Oto znowu *Mosk. Wied.* umieściły następującą korespondencyę z Warszawy: Towarzystwo dobroczynności w Warszawie utrzymuje pewną liczbę ochron oraz czytelni bezpłatnych. Przez wiele lat te ochronki były siedliskiem propagandy polsko-rewolucyjnej. Wykładano tam dzieciom historyę polską i „geografię Polski“ najbardziej tendencyjnie i wpajano idee antypaństwowe. Były kurator okręgu naukowego warszawskiego, A. L. Apuchtin, zwrócił uwagę na te zakłady, poświęcił dużo pracy na to, ażeby pozbawić je charaktem rozsadników idei polsko-rewolucyjnych. Obecnie wykryto (czytaj: wykrył *Przegląd Katolicki*—*przyp. autora Listów*), że czytelnie bezpłatne warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, jak ongi ochronki, służą za narzędzie propagandy polsko-rewolucyjnej.

W czytelniach tych, które *dotychczas były po za obrębem kontroli rządowej*, zaopatrujących w książki robotników, rzemieślników, wyrobników i inne kategorye ludu miejskiego, znaleziono (!!) mnóstwo (!!) zabronionych polskich książek rewolucyjnych (!!). Naturalnie będą one usunięte z czytelni; ale, niestety! po za tem zostanie tam jeszcze mnóstwo książek bezwarunkowo szkodliwych. Jak wiadomo, przed kilku laty rząd wydał rozporządzenie, na mocy którego czytelniom zabroniono mieć,te wszystkie książki rosyjskie, które uznano za szkodliwe pod względem religijnym, politycznym i moralnym. Takiego spisu książek polskich niema wcale, tak iż np. utwory materyalistów, zabronione w przekładzie rosyjskim do użytku czytelni, bez żadnych przeszkód są wydawane publiczności przez czytelnie warszawskie w przekładzie polskim. W czytelniach warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, *przeznaczonych dla ludu prostego*, niestety, jest bardzo dużo książek, zupełnie nieodpowiednich, szczególnie ludowych, jak np. dzieła Büchnera. Są tam utwory Woltera, Drapera (to dla ludu prostego?! — zabawny wykrzyknik moralizatora, opierającego oburzenie na denuncyacyi — przyp. *autora Listów*). Są zupełnie nieodpowiednie dla nieoświeconego proletaryatu miejskiego utwory z dziedziny ekonomii politycznej, np. Iwaniukowa „Zasady polityki ekonomicznej i Al. Smidta do chwili obecnej“ w przekładzie polskim. Prócz tego jest sporo utworów polskich, historycznych i beletrystycznych, wprawdzie dozwolonych przez cenzurę, ale wcale nieodpowiednich dla ludu. Mogą one wywierać wpływ jaknajszkodliwszy. Pożądane byłoby stworzenie komisyi, któraby decydowałaby, jakie książki w języku polskim należy usunąć wogóle z czytelni, szczególnie zaś z tych, które są przeznaczone dla ludu.“

Mielibyśmy najzupełniejsze prawo artykuł ten nazwać w najwyższym stopniu nieuczciwym; donosicielstwem, i to zmyślonem, oszczerstwem niegoddziwem. Ale

---

A skazańcy sachalińscy, którzy nie znają ani Syberyi, ani jej stosunku do katorgi, śmieją się z tych starców, z ich wspomnień i pieśni.

— Czyż to możliwe, żeby czałdon (obywatel) był dla warnaka dobry? Nigdy w życiu nie dam wiary! — mówił mi niejeden „sachalińczyk.“

Jest jeszcze ulubiona pieśń „syberyjska,“ którą czasem skazańcy śpiewają:

Bujne wiatry szumią w koło,
Opiekunem mym — świat boży;
W tundrach pusto, nie wesoło,
Ani słońca, ani zorzy.
Tam rysują się jak cienie
Od Angary dzikie skały;
Aż ku morzu nieskończenie
Długi sznur swój rozsypały
Tam rysują się jak cienie
Od Angary dzikie skały
Hej, wy skały, prędzej tłumnie
Z gór potoczcie się tu ku mnie!
Dzikość wasza wiarę budzi;
Ja się boję — tylko ludzi...

Gdy tę piosnkę, stworzoną w obwodzie Jakuckim, zaśpiewają skazańcy — płynie z niej jakaś ponura, wielka siła. Nieraz żałowałem, żem nie mógł zapisać melodyi tych pieśni.

Między innemi zasługiwała na to i następna, która już zanika:

Smutny znużony, potrząsa łańcuchem,
Dźwiga na rękach i nogach okowy.
Z wzrokiem ponurym i cierpieniem głuchem
Idzie, wpatrzony w długi szlak jałowy...
Słońce okrutne pali swoim żarem;
Mocy nie czuje dusza nieszczęśliwa.
Z ran rozjątrzonych żelaza ciężarem
Kropla po kropli — krew gorąca spływa.

Piosnka ta jest echem nieistniejących już dziś „etapów.“

Śpiewali mi jeszcze skazańcy swoją straszną pieśń, którą nazwałbym „hymnem katorgi.“ Oto jej treść:

„Tam gdzie pałace murowane, zanieś zanieś wieść do Moskwy. Do Moskwy do białej... Zaśpiewaj, zaśpiewaj, skowroneczku, o ciężkiej naszej niewoli. Gdyby ojca opowiedzieć o tem, co się ze mną dzieje na obczyźnie!.. Jam przecież nie był złodziejem, ani mordercą. A jednak posłano mię, ażebym doświadczył katorgi, żebym zaznał doli przeklętej. Jak ciężko żyć na obczyźnie! Ach, moja ukochana i ty, matko! Zapomniałaś o mnie, jakbym już zniknął ze świata. Ale przyjdzie czas, że powrócę. Za wszystkie cierpienia, za złe odpłacę. Przyjdzie czas, wrócę... Zanieś wieść tę, skowronku!“

Śpiewano mi tę piosnkę w więzieniu nad wieczorem po kontroli. Wszyscy w tym chórze wzięli udział. Jeden ze skazańców, siedząc na narach i patrząc gdzieś w górę, panował swym dźwięcznym tenorem nad wszystkimi. Smutnie śpiewał o skowronku, o krzywdach i zemście, jak gdyby marzył głośno. Z ciemnych zaś kątów wybiegło przenikające do głębi duszy

— „Zanieś, zanieś wieść...“

Smutne, beznadziejne. Niepodobna słuchać spokojnie tego śpiewu.

Ale wszystkich tych pieśni, stworzonych na Syberyi, a przywiezionych na Sachalin, jak rzekłem, katorga nie lubi. „Jątrzą.“ Woli ona inne, „wesołe.“ Niepodobna ich dać w druku. Co to za piosnki! To nawet nie cynizm. Bezmyślne skupienie słów, których połączenie tworzy coś podobnego do wyrazów nieprzyzwoitych.

Oto, co śpiewa katorga. Mówią, że pieśń, to „dusza ludu.“ Katorga także śpiewa pieśni, pełne bądź sentymentalizmu, bądź tego surogatu uczucia, który często ludziom zastępuje samo uczucie, bądź — ran — tęskoty za stroną rodzinną. Wreszcie jest w nich gniew, cierpienia przeżyte, junakierya nadrabiana, lub cynizm i rozpasanie.

Najczęściej wszakże katorga milczy.

(C. d. n.)

niestety! Musimy pismu polakożerczemu, zaślepionemu i tendencyjnemu, przyznać tym razem zupełną słuszność, gdyż przypuszczenia i wnioski swoje opiera ono na świadectwie, pochodzącem z naszego łona. A więc to wszystko, czem byśmy mogli napiętnować powyższe wywody, stosuje się wyłącznie, i to w stopniu wyższym — do *Przeglądu Katolickiego*.

Ażeby zaznaczyć, jak dalece błoto, rzucane na nas z naszego własnego środowiska, splamiło niepokalaną czystość prawdy, muszę dodać, że dzieje wewnętrzne, treść i gospodarka warszawskich czytelni bezpłatnych jest mi wybornie znaną. Przez lat kilka brałem w nich czynny udział i w odpowiedzi *Mosk. Wiedomostiom* oraz dostarczycielowi doniesień temu pismu, *Przeglądowi Katolickiemu*, mogę dodać, że czytelnie owe nie są przeznaczone wyłącznie dla ludu wiejskiego, mało oświeconego; że korzysta z nich znaczny procent inteligencyi ubogiej; że członkowie czytelni bezinteresownie, lecz szczerze pełniący swoje obowiązki, jako ludzie światli, inteligentni, umieją wybornie rozpoznać publiczność i stosownie do jej poziomu umysłowego wydawać książki odpowiednie; że wogóle poziom umysłowy ludu miejskiego stoi znacznie wyżej, niż sobie wyobrażają *Mosk. Wied.* i *Przegląd Katolicki*; że to wszystko, o co posądzają *Mosk. Wied.* i *Przegląd Katolicki*, mianowicie, że czytelnie były przytułkiem propagandy polsko-rewolucyjnej, jest bezczelnem oszczerstwem, rzuconem przez wroga pożytecznej instytucyi, który hołduje ciemności, kłamstwu, obłudzie — zasadom potępionym przez Chrystusa, pomimo że nasz denuncyant swoją szatą i fachem (nie powołaniem!) działa w imieniu Chrystusa, w rzeczywistości zaś znieważa to święte i wielkie imię.

Smutnie wiosna się zaczęła dla ubogiej ludności w wielu guberniach Cesarstwa. Zima była długa, uciążliwa, skutkiem czego nie, starczyło paszy dla bydła, węgiel ceniono na wagę złota, lud więc musiał rozbierać na opał płoty i dachy domów. Wiele pól nie obsiano, gdyż zabrakło ziarna na posiewy jare. Ludność stała się podatną na choroby. Według *Smol. Wiestnika*, w pow. Gżackim z powodu lichego odżywiania się matek, wogóle skutkiem postu długiego, a więc używania pokarmów wcale niepożywnych i niezdrowych, dzieci umierają masowo. Dla strawy i chleba lud się pozbywa odzieży zimowej, zabiera, zastawia lub sprzedaje garderobę kobiecą. „Ileż to łez wylewają młode kobiety, owe niewolnice bez prawa głosu, w chwilach gdy ojcowie lub teściowie zabierają ich stroje świąteczne!" Tak pisze reporter! Płaczą one jednak nietylko dlatego. Płaczą nad nędzą swego życia... Bydło w oborach tak było wycieńczone, że musiano je podnosić sznurami, bo samo wstać nie mogło.

Z pomocą nieszczęśliwym spieszy miłosierdzie możnych i dostatnich. W Jejsku stworzono komitet ratunkowy, który zbiera ofiary. W pierwszym dniu otwarcia zebrano 608 rs.

Trochę inaczej, niż reporterzy w korespondencyach, traktuje to zjawisko p. Suworin w *Now. Wrem.*: „Kresy zaczynają kwitnąć, a centrum ubożeje, wymaga pomocy państwowej i ofiar społecznych. Na kresach węgiel kamienny, klimat umiarkowany, więcej szkół i stosunek procentowy do liczby ludności znacznie wyższy. Kresy doznają protekcyi także ze względów politycznych. Kresy rosną, centrum zaś spada coraz niżej. Brak lasów, rzeki wyschłe, czarnoziem zmyty, wiatry surowe, wysuszające glebę, zmniejszenie się liczby bydła i koni, fizyczne zwyrodnienie ludu — taki nam obraz dają badacze spraw miejscowych." Klęska nie wypływa jedynie z nieurodzaju. P. Suworin zaznacza, że w miejscowościach, tą nędzą dotkniętych, oświata stoi bardzo nizko. Wszelka kultura jest również w stanie pierwotnym. Autor żąda podniesienia centrum pod względem oświaty i kultury... kosztem kresów i nazywa to — samoobroną! Takiemi drogami chodzi polityka ekonomiczna i społeczna panów publicystów, którzy krążąc po najrozmaitszych drogach i dróżkach, zawsze potrafią dojść do „kresów" — źródła niewyczerpanego.

Klęska tegoroczna niewątpliwie wpłynie na wzrost wychodźctwa do Syberyi. Lud tam podąża w nadziei poprawienia bytu, w rzeczywistości jednak napotyka twardo, uciążliwe warunki. Pomimo to kolonizacya się rozwija powoli, dla jej zaś wzmocnienia *Now. Wrem.* radzi osadzić na Syberyi dziesięć tysięcy duchoborców, którym, z wyjątkiem popisowych, pozwolono kosztem własnym wyjechać za granicę. „Emigracya do Ameryki dziesięciu tysięcy Rosyan, to czyn nierozważny, bo już w drugiem pokoleniu ludzie ci staną się Amerykaninami i zginą dla ojczyzny. Dziś, gdy Słowianie amerykańscy czynią zabiegi, ażeby im pozwolono osiąść na Syberyi, byłoby rzeczą nierozsądną skierowywać Rosyan za ocean." Pismo radzi, ażeby duchoborcom dano miejscowość, zwaną „klinem chińskim," między obwodami Fergańskim, Semipałatyńskim i Semireczeńskim.

Paweł Krzyżanowski.

Z GALICYI.

Obecne położenie Austryi w związku z opozycyą w parlamencie. — Wpływ tego położenia na Galicyę.

Austrya przechodzi teraz przesilenie polityczne, bardzo podobne do tego, jakie przeszła w r. 1848 — z tą tylko różnicą, że wówczas można było przewidzieć, czem się zakończy, bo Węgrzy dążyli z bronią w ręku do oddzielenia się, dziś zaś nic przewidzieć się nie da. Utworzyła się mgławica polityczna, taka, że nawet najbliższej przyszłości nie widać. Możnaby wprawdzie powiedzieć, jak pan baron Mickiewicza —„niech słońce spadnie i skowronki spali" — a jednak my z takiego, czyli tak zwanego galicyjskiego punktu widzenia nie możemy być obojętni, bo takie lub inne położenie i stan państwa bezpośrednio nas dotykają. Mówić zatem o położeniu Austryi — to znaczy mówić o Galicyi, bo każdy ustrój państwowy tak lub inaczej oddziaływa na prowincye i kraje poszczególne.

Austrya ciężko zawiniła względem wszystkich Słowian, których Nemezys historyczna pod jej berłem skupiła; długo sprawowała nad nimi panowanie „niemieckie," ale z chwilą gdy sama odsuniętą została od źródła germańskiego, rozpoczęła się nowa era w jej życiu państwowem. Przedewszystkiem musiała porobić ustępstwa na rzecz różnych narodów i krajów, składających tę dziwną w swoim rodzaju monarchię, której brakło zupełnie wszelkiej spójni. Dotychczas trzymało się to wszystko jako tako, a teraz literalnie Austrya rozłazi się — mówiąc trywialnie. Duch czasu, potrzeby i interesy państwa, dojrzałość polityczna szczepów, plemion i narodów, popychają ją na drogę szukania nowych podstaw państwowych, a tymczasem opozycya niemiecka, utożsamiając interesy swoje, jako narodu, który dotychczas rządził Austryą, z interesami państwa, gwałtem pragnie nawrócić falę dziejową na drogę przeżytego i niemożebnego dziś centralizmu niemieckiego. Taka polityka wewnętrzna, z jednej strony dążąca do absolutyzmu z pognębieniem praw innych narodowości, z drugiej nieuznająca niebezpieczeństwa, jakie grozi państwu, jest w zasadzie polityką krótkowidzów i zbyt egoistycznie utylitarną. Z tego powodu nie może ona doprowadzić do rezultatu pożądanego i dobrego.

Sądzę, że niema poważnego męża stanu w Austryi, któryby nie widział niebezpieczeństwa w zbyt daleko idących żądaniach opozycyi niemieckiej, a jednak nie widzą tego przedewszystkiem Niemcy. Nic nie mam przeciwko temu, gdy oni pragną być gospodarzami we własnem państwie, gdzie stanowią większość, bo rządy ich mogą być regulowane jedynie interesami własnego narodu. Można być zwolennikiem pięści, ale bez szkody dla innych. Gdy jednak, jak w Austryi, niema żadnej jednolitości, lecz przeciwnie, dążenia Niemców mają na celu pognębienie innych krajów koronnych i narodowości, stają się one nieuczciwością polityczną, która państwu nigdy na dobre nie wychodzi. Na skraj przeto przepaści i bardzo burzliwych stosunków wewnętrznych doprowadzić jedynie może teraźniejsza opozycya w Radzie państwa.

Rzućmy tylko okiem na położenie obecne. Hr. Kaz. Badeni poszedł o krok dalej, niż hr. Taaffe na drodze równouprawnienia narodowości: przeprowadził tę zasadę w Czechach. Z tej racyi Niemcy czuli się pokrzywdzeni i rozpoczęły się znane awantury. Za cel pocisków wzięto tego, który zasadę reprezentował i nadawał jej życie. Rzecz barddo słuszna: na wojnie biją nie winnego, lecz tego, który występuje z bronią w ręku. Sprawa sporu o zasadę rządzenia komplikowała się terminem odnowienia ugody z Węgrami, której przeprowadzenie stało się niemożebne z powodu zawieszenia prawidłowej pracy w parlamencie. Nienawiść Niemców do Badeniego przeniosła się na wszystkich Polaków. Rozpoczęło się szczucie, z którego nikt sobie nic nie robił, bo celem pracy i polityki każdego narodu nie jest wcale zyskanie miłości przeciwników, ale zdobycze pozytywne. Nie wzajemne kokietowanie się zbliża narody. Austrya połowiczna, jak zawsze, z powodu braku jasno określonej drogi politycznej i braku wzajemnego zaufania rządu i narodów, od prezydenta Polaka przerzuciła się do Niemca Gautscha. Zdawało się, że w ten sposób uspokoi się opozycya. Gautsch okazał się wszakże człowiekiem zupełnie niedołężnym i niezdolnym do rządów. Teraz wystąpił hr. Thun — pół psa, pół kozy. Nazywają go Niemcem czeskim, a można również nazwać Czechem niemieckim. To zupełnie wszystko jedno. Tyleż on zrobił, co Gautsch. Pozycya w niczem się nie zmieniła na lepsze, przeciwnie idzie ku gorszemu, bo dawniej możnaby było zmusić Niemców do ustępstw, dziś trudniej. Szybkimi krokami zdążamy znowu do absolutyzmu. Mówi się głośno o rozpędzeniu na cztery wiatry parlamentu.

Teraz, gdy się wywiązała dyskusya nad oskarżeniem hr. K. Badeniego, poseł niemiecki, Schücker, adwokat z profesyi, bez ogródek powiedział: „My Niemcy nie obawiamy się absolutyzmu. My mamy przecież niemiecką biurokracyę, z którą lepiej nam będzie, niźli ze słowiańską większością w parlamencie. Mamy niemieckie wojsko, niemiecką dynastyę. Na parlamentaryzmie zyskują tylko inni." Oto jest stanowisko Niemców w Austryi. Zapomniał tylko dodać ten wielbiciel pięści germańskiej, że w niemieckiem wojsku jest większość słowiańska, że na utrzymanie oficerów austryackich, których jedyną zaletą są błyszczące guziki, a jedyną pracą paradowanie na ulicach, idą słowiańskie pieniądze, a urzędnicy nie wszędzie i nie wszyscy są Niemcami.

Hr. Thun dotychczas nic nie zrobił w celu odwrócenia zbliżającej się burzy i wątpić należy, czy co mądrze zrobić potrafi. Ażeby zdecydować się na popieranie prawa bagnetem, trzeba wielkiej siły przekonań; ale wspierać bezprawie lada kto potrafi. Bronić odważnie rozporządzeń językowych hr. Thun nie będzie miał odwagi, a odwołać je — znaczyłoby większość Przedlitawii postawić przeciwko rządowi, a przedewszystkiem Czechów. To rzecz za ryzykowna i wątpię, czy Czesi przyjmą spokojnie rządy niemieckich autokratów. Ludzie zbyt już dojrzeli, ażeby ich można było bezkarnie prowadzić na pasku.

Słowem, na dzisiejsze wypadki trzeba patrzyć jako na fakt, że hegemonia niemiecka w Austryi skończona, że Niemcy mogą zajmować takie jedynie stanowisko, jak każdy inny naród, żadnych praw większych żadnych przywilejów. Można się zgodzić na utrzymanie języka niemieckiego w stosunkach ogólno-państwowych, w porozumieniu z najwyższemi instytucyami krajów, nie w znaczeniu wszakże bynajmniej języka państwowego, posiadającego jakieś przywileje osobne. Te wszystkie walki, jakich jesteśmy świadkami, są niczem więcej, tylko procesem historycznego przetwarzania się Austryi, któremu Niemcy pragną przeszkodzić w celu utrzymania przewagi państwowej. My Słowianie w Austryi, a szczególnie Polacy, walczymy w rozproszeniu. Nie łączy nas w parlamencie bynajmniej wielka idea wspólna, lecz dzielą spory, zatargi, ambicye wewnętrzne, swoje własne. Osłabiamy przeto w parlamencie nietylko znaczenie polskiego odłamu, ale często, skutkiem braku wspólności celów, działamy na pożytek wrogów, wzmacniając ich szeregi. Jest to najlepszy dowód, że nie jesteśmy w stanie utworzyć wybitnej i silnej większości w Radzie państwa, a zatem ująć ster w swoje ręce. Nie umiemy popierać i bronić swoich mężów stanu. Najlichsze figury niemieckie, o których wróble w ojczyznie nie wiedziały, rozmaite Wolfy i Schönerery, urosły, dzięki podtrzymywaniu ich, na bohaterów, a naszych pionierów idei strącamy lada dzień z piedestału powagi i znaczenia. Okazało się to teraz przy oskarżeniu Badeniego. Ażeby go bronić, nie mamy większości i trzeba jedynie szczęśliwego wypadku, obecności wszystkich polskich posłów a braku niemieckich, ażeby oskarżenie upadło.

Gdy tedy z jednej strony parlament jest zupełnie nieczynny, gdy pierwszorzędne sprawy państwowe leżą niezałatwione, gdy stosunek jednej połowy monarchii do drugiej nie jest dostatecznie uregulowany, ogólne wewnętrzne położenie Austryi staje się poprostu groźnem. Wygląda ono tak, jak gdyby w ciemnej izbie ktoś zamknął bijących się z sobą ludzi, a oni zamiast poszukać światła i zastanowić się nad tem, w jaki sposób wydobyć się najlepiej z zamknięcia — tłuką się dalej. Rzućmy tylko okiem na stan państwa — wszędzie zdzierstwo, ruina, niedołęztwo, połowiczność. Nie są to bynajmniej zarzuty gołosłowne, ale ostateczne wnioski z ogólnego położenia. Jako państwo, Austrya zajmuje stanowisko bierne. Gdy na wielkiej szachownicy świata Anglia, Francya, Niemcy, Rosya, nawet Belgia i Holandya, szukają rozszerzenia swoich wpływów i rynków za pośrednictwem bądź nowych zdobyczy terytoryalnych, opierając się na prawidłowej organizacyi wychodźczej, Austrya, której marynarka jest idealnie niedołężną i śmiesznie małą, nie może zmierzyć się nawet z Chinami, a siły jej wychodźcze, pozbawione opieki, jak widzieliśmy w ostatnich mordach w Stanach Zjednoczonych, marnują się. Zamiast zająć się organizacyą wychodźctwa, ona stosuje do nich system policyjnego zatrzymywania w domu przemocą, nie troszcząc się o to, że w domu ludzie z głodu i przeciążenia podatkowego giną. Ekonomiczna ruina — powiada jedno z pism tutejszych, najśmielszych i najuczciwszych — zagląda wszystkiemi oknami. Ekspertyza co do warunków wywozu austryackiego wykazała, że przemysł w Austryi ginie, bo środki komunikacyjne niedostateczne, wodne niżej najskromniejszych wymagań, taryfy i podatki ogromne, opieka konsularna śmieszna; powstanie nowych gałęzi przemysłowych dusi system koncesyjny, jako też idyotyczne przestarzałe przepisy co do tworzenia, kontroli i opodatkowania towarzystw akcyjnych; organizacya kredytu niedostateczna. Obok nędzy politycznej, nędza ekonomiczna. Podatki zwiększają się coraz bardziej, system ściągania ich oburzający swoją bezwzględnością. Są to wszystko wady zbutwiałe; przestarzałej, skrzypiącej maszyny biurokratycznej państwowej. Nie zmieniwszy podstaw rządzenia u spodu, zaprowadzono konstytucyonalizm z wierzchu — istota rzeczy nic na tem nie zyskała. Wóz skrzypi po dawnemu, bo też koła i osie pozostały zrujnowane i zniszczone, dodano do niego tylko nowe drabiny.

Nic dziwnego przeto, że takie nędzne ogólne położenie państwowe odbijać się musi na krajach poszczególnych, a im te kraje są bardziej apatyczne z natury swojej, tem gorzej się w nich dzieje, bo z jednej strony ciśnie maszyna państwowa, z drugiej występują ambitne zachcianki do rządzenia domorosłych geniuszów, którzy po karkach kochanych rodaków pragną wydobyć się na wierzch piany państwowej. Zasługują się też Niemcom w Wiedniu kosztem gnębienia swoich. Autonomia galicyjska z całym Wydziałem krajowym i Radami powiatowemi — to jest tylko filia namiestnictwa. Są powiaty, gdzie rządzą sprawami wewnętrznemi, autonomicznemi, nie marszałkowie i Rady powiatowe — jak to wykazano niedawno — lecz starostowie. Nadzór nad gospodarstwem gminy stał się mytem, gdyż wielcy ludzie tutejsi, zamiast z większą energią pracować dla kraju, bawią się w królików lub opasłe swoje twarze zwracają do Wiednia, nasłuchując, czy nie będą w czem „pożyteczni" rządowi. Jeden z posłów sejmowych w sprawozdaniu przed wyborcami wprost powiada, że Rada szkolna prowadzi syzyfową robotę — bo 137 szkół w ciągu roku otworzyła i tyleż — zamknęła. Nauczyciele zniechęceni, oddani na łup rozmaitych brutalnych „radców," wprost uciekają ze stanowisk; tak utrzymuje w sprawozdaniu swojem profesor, znawca rzeczy szkolnych, a poseł na sejm krajowy.

Proszę dodać do tego położenia zatargi narodowościowe wewnętrzne, wytworzone zbytniemi ustępstwami na korzyść żywiołów niepolitycznych, niedojrzałych i niepewnych, a łatwo sobie wyobrazić, dlaczego jednych ogarnia apatya, drugich gorycz i smutek, a trzecich — zadowolenie z okruchów, spadających z uczty wiedeńskiej. Teraz chwilowo wszystkich oczy zwróciły się na nowego namiestnika z nadzieją czegoś lepszego, jak gdyby on posiadał eliksir na wszystkie rany. Co będzie? Zobaczymy. Teraz jesteśmy jeszcze w stadyum różowych marzeń, wszyscy prawią grzeczności namiestnikowi, a namiestnik wszystkim. Programu pracy jeszcze niema.

Ch.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Bąki i muchy.

W każdej wojnie my jednej ze stron ofiarujemy moralne przymierze, a nawet w takiej, w której ani przyczyny, ani skutki, ani sami walczący nic nas nie obchodzą, nie zachowujemy „neutralności." Jest to niewątpliwie dowód, że nas zajmują sprawy całego świata i że nasze sympatye nie opierają się na rachubach, ale na bezinteresownych uczuciach. Rys ładny a przytem ludzki: jedno stado bydła spokojnie się pasie na łące, gdy drugie rozpruwa sobie brzuchy rogami. Naturalnie w starciu hiszpańsko-amerykańskiem nie pozostaliśmy również obojętni, chociaż przyznać trzeba, że nasze sympatye objawiają się dość niewyraźnie, i biorąc miarę z głosów prasy, trudno byłoby orzec, która ze stron wojujących ma u nas więcej zwolenników. Z pewnością nie będziemy płakali, jak po Sedanie. Życzliwość bowiem połamała się na drobne okruchy: ojciec smuci, a syn cieszy się zbombardowaniem Manili, jeden brat pozostawiłby Kubę Hiszpanom, a drugi oddałby ją Stanom Zjednoczonym. Jakkolwiek wszakże namiętności nie mają do wybuchu dostatecznej podniety i drzemią w stanie umiarkowanych życzeń, tu i owdzie odzywają się żywsze głosy przyjaźni lub niechęci. Przedewszystkiem stronnictwo hiszpańskie stara się ośmieszyć yankee'ów i przedstawić ich jako ludzi opętanych samolubstwem, wyzutych z miłości bliźniego, a nawet podnoszących zwycięzki rozbój w życiu do godności cnoty. Między innymi dowodami tego „materyalistycznego bandytyzmu" ogłoszono (ze źródeł hiszpańskich) w kilku pismach „katechizm" czcicieli „businessu" i zasady ich etyki. A więc np. jak jest pojmowana w Stanach Zjednoczonych *kradzież*. Jeżeli ktoś wydrze komuś milion dolarów — to się nazywa tam „zręcznością genialną"; jeżeli zabierze 100,000 — „zręcznością zwykłą." Jeżeli przywłaszczy sobie 50,000, to się zowie „kwestyą sporną"; jeżeli 25,000 — „nieprawidłowością"; jeżeli 5,000 — „sprzeniewierzeniem"; jeżeli 1,000 — „czynem karygodnym"; 500 — „niegodziwem nadużyciem zaufania"; 100 — „złodziejstwem." Gdyby zaś nieszczęśliwiec zabrał komuś kawałek mięsa lub chleba, jest potępionym przez opinię i prawo burzycielem porządku społecznego, zasługującym na kryminał.

Nie przeczę bynajmniej, że tak jest w Stanach Zjednoczonych, tylko dodam, że tak jest wszędzie. Nie dla nich, ale dla całego świata cywilizowanego ułożył przysłowie ten, kto powiedział: „bąk przebije pajęczynę, a mucha w niej uwięźnie." Ameryka północna jest względem Europy rodzajem geniuszu i rodzajem małpy. Jak słusznie ktoś zauważył, wielcy ludzie popełniają wielkie błędy i posiadają wielkie wady. Ponieważ tam, za oceanem, energia działania, śmiałość pomysłów, rzutkość w przedsięwzięciach rozwinęły się do nadzwyczajnej miary, w równym stopniu objawiły się także wszystkie złe strony natury ludzkiej, które w naszej epoce towarzyszą zwykle tym zaletom. Udający świętoszka Europejczyk jest też samolubem, rozbijającym głowy współzawodników pałką swego interesu, zapatrzonym głównie w materyalne korzyści swych wysiłków, ale on o tyle jest niższy od Amerykanina, o ile rzezimieszek od

bandyty. Więc go wyklina i potępia częścią z zazdrości, a częścią ze szczerego obrzydzenia, jakiego doznaje człowiek na widok podobnej do niego małpy. Ma ona te same rysy, tylko wydatniejsze, w brzydocie mocno zaznaczone, a jemu się zdaje, że go niczem nie przypomina. „Yankee" nie należy do odmiennej rasy, jest on kością z kości i krwią z krwi europejskiej, przeniósł z sobą do nowego świata nietylko komórki i soki pnia, od którego się oderwał, ale całą atmosferę i pierwiastki kultury, które rozwinął do wielkiej potęgi i wielkiej potworności. Nieodrodny syn swej macierzy okazał on jej poglądowo, jak daleko zajść może wytężona energia i bezwzględne samolubstwo; dostarczył jej chwalebnego przykładu i pouczającej przestrogi. Każdym swoim czynem, każdym swoim tryumfem mówi on do niej: patrz, matko, jak twoje dziecko umie wyzyskiwać warunki życia według twoich wskazówek. Zazdrościsz mi dobrobytu. Nie pluj w jego źródła, bo sama z nich czerpiesz starą, niedołężną ręką.

Zaiste, trzeba być zupełnie ślepym lub w sądach swoich powierzchownym, ażeby Atlantyk uważać za granicę dwu całkiem odmiennych etyk i z tej strony widzieć moralność zdrową, a z tamtej do rdzenia przegniłą. Lew dusi wołu, a kot tylko mysz, nie znaczy to jednak, ażeby ten ostatni nie był krwiożerczym i należał do innej rodziny. Obaj są blizkimi krewniakami, obaj mają jednakie pożądania, chociaż znacznie różnią się wielkością. Instynkty Amerykanina leżą bardziej na wierzchu jego natury i życia; Europejczyk przykrywa je szlachetnymi pozorami, ale dość zeskrobać niewielką warstwę udawania i „kłamstwa konwencyonalnego," ażeby dostrzedz te same nerwy samolubstwa. Od czasu do czasu jakiś proces sądowy, jakieś odkrycie, jakiś nóż rozcinający wrzody „interesu," dokonywa tej operacyi w starym świecie i wtedy widzimy, że mu nie brak chęci nowego, tylko jego sił i śmiałości. Cóż np. w Stanach Zjednoczonych wymyślono gorszego od francuskiej Panamy, od rozmaitych karteli i oszustw finansowych, które kują się ciągle w tajemnych kuźniach spekulacyi europejskiej? Golec niemiecki lub włoski, dorobkiewicz, który puściwszy w ruch całą swoją przebiegłość i drapieżny egoizm, zdobył zaledwie mizerną rentę z niesumiennych obrotów i wyzysku, prawi yankee'owi kazanie o zmateryalizowaniu pragnień; ale dajmy temu golcowi sposobność i wskażmy mu drogę, po której on mógłby dojść do stanowiska „króla kolejowego," „srebrnego" lub „miedzianego," zobaczymy, czy on na nią skwapliwie się nie rzuci, cisnąwszy tłomoczek z morałami, któryby mu przeszkadzał w pośpiechu. Kradzież — powiadają — zaczyna się w Stanach Zjednoczonych dopiero od 100 dolarów i powiększa się w swej sromocie równolegle z obniżaniem się tej sumy, tak że przy wziętej dla zaspokojenia głodu bułce zamienia się na ohydną, najwięcej karaną zbrodnię. Skąd wzięta owa hierarchia występku, rosnącego w stosunku odwrotnie proporcyonalnym do wartości przedmiotu? Czy ją samodzielnie wytworzyli Amerykanie? Bynajmniej, zapożyczyli ją od Europy, od klasycznej ziemi opiątanych much i przebijających się przez pajęczynę bąków. Proszę tylko przypomnieć sobie, jak w niej opinia publiczna znęca się bezlitośnie nad złodziejem, który obrabował cudzą piwnicę i z jakim podziwem patrzy na spekulanta, który zręcznym obrotem handlowym obrabował kieszenie tysiąców ludzi. Ten ostatni nie popełnił kradzieży, tylko „wpadł na szczęśliwy pomysł," dał dowód „genialnego sprytu." Ta wytykana yankee'om i rzekomo uprawiana przez nich kradzież przedzierzgnęła się na gruncie europejskim w tyle szanownych postaci, że właściwie nie wiadomo, kiedy ona występuje pod swojem, a kiedy pod przybranem nazwiskiem. Najsurowsze i najbardziej przewidujące kodeksy nie mogą dać sobie z nią rady. W chwili, kiedy sędziemu zdaje się, że schwytał tę czarownicę, pozostaje mu w rękach mgła albo trochę smoły, a rozlegający się w powietrzu szatański chichot drwi z jego zawodu. Kiedy w Wiedniu wybuchnął pamiętny krach, czy kto wtedy krzyczał: łapcie złodziejów?! Nie, mówiono tylko o przeniewiercach i podstępnych graczach. Kiedy spekulanci zbożowi urządzą pułapkę na rolników i wydrą im owoce ciężkiej pracy, czy kto oskarża ich o kradzież? Także nie. Zasłużyliby na taki zarzut i karę, gdyby przywłaszczyli sobie jedną bułkę z tego zboża; ale gdy na oszustwie zarobią 100,000 marek — to się nazywa *ein gutes Geschäft machen*.

Słowem, jeżeli Europa nie chce być starą obłudnicą, nie powinna wyśmiewać ani zmateryalizowania się charakterów, ani pobłażania dla bąków a surowości dla much w Stanach Zjednoczonych. Prawda, że tam, za oceanem, szalona pogoń za *businessem* stanowi niemal wyłączny rozpęd energii, niezrównoważony talentami i dążeniami w innych dziedzinach życia i pracy, ale to świadczy tylko o większej jednostronności rozwoju, naturalnej i zrozumiałej w narodzie bez tradycyi, bez historyi, bez nagromadzonych przez wieki wzorów i pobudek idealnych, natomiast z nałogami i wspomnieniami zaciętej walki o byt. Ameryka północna — to młoda, zdrowa, śmiała dziewka, fabrykantka dostatku i bogactwa, na którą zazdrośnie i wzgardliwie patrzy stara Europa-matka, otoczona przepychem dorobku historycznego i tworami artyzmu, osłaniająca swą niemoc i szczerby majątkowe dumą z zasług, imienia i spadku, odziedziczonego po przodkach. Jest w tej pysze dużo słusznych praw, ale też dużo śmieszności.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

DOROBEK SOCYOLOGICZNY.

Po raz pierwszy ukazał się tak zwany *Rok socyologiczny*, książka, poświęcona przedstawieniu postępu, dokonanego w ubiegłym roku przez socyologię, oraz pokrewne jej gałęzie. Takie wydawnictwa istnieją już dla innych nauk, pozwalając studyującemu zapoznać się z całym ruchem w pewnej dziedzinie wiedzy; wychodzą one co rok i dają obraz podniesionych zagadnień i otrzymanych rezultatów. Podobnego rodzaju rzuty oka są wobec rozrastającego się ogromu studyów niemal koniecznością, niepodobna bowiem czytać każdej książki i trudno nieraz dowiedzieć się o tem, co wyszło. Zwłaszcza socyologia, użytkująca z tylu rozmaitych nauk pomocniczych, potrzebowała takiego poradnika i książka, wydana pod redakcyą Durkheima, prof. socyologii w uniwersytecie w Bordeaux, zapełnia lukę, która dotkliwie uczuć się dawała. Socyolog musi czerpać dane z nauk moralnych, prawnych, ekonomicznych, badać dzieje religii i kultu, znać wyniki antropologii itd., niemożliwem zaś jest, wprost ze względów technicznych, ażeby imał się każdej specyalności. „Mniemamy — powiadają słusznie wydawcy — że w obecnym stanie wiedzy taka książka stanowi najlepszą dźwignię postępu. Wiadomości, które socyolog powinien, jeżeli nie chce być prostym dyletantem, są tak rozległe i urozmaicone, fakty tak liczne, tak wszędzie rozrzucone, że z trudnością można je odnaleźć i zawsze grozi niebezpieczeństwo pominięcia najważniejszych."

Rok pierwszy *) zawarł w sobie dwie prace oryginalne: E. Durkheima o zakazach związków kazirodczych i ich początku i G. Simmela o tem jak urządzenia społeczne trzymają się. Po za tem następuje bardzo obszerny dział sprawozdań z książek, potrącających jakiekolwiek zagadnienia z historyi rozwoju społecznego. Oceniono prawdopodobnie około setki najświeższych dzieł i monografij. Rozmieszczono je według treści. Naprzód idą prace, należące do zakresu tak zwanej socyologii ogólnej (filozoficznej, biologicznej i psychologicznej), traktującej o zadaniach i metodach rozpatrywanej nauki, o stosunku zjawisk społecznych do biologicznych i psychicznych. W dalszym ciągu opracowano socyologię szczegółową, rozbitą na działy: religijny, moralno-prawny, kryminalny, ekonomiczny, wreszcie poświęcono część jedną „rozmaitościom," a zatem antropo-socyologii, socyo-geografii, demografii.

Korzystając z takiego obrazu dorobku zeszłorocznego na polu studyów socyologicznych, zatrzymamy się nad postępem, dokonanym w niektórych działach społecznoznawstwa. W przedstawieniu tych zdobyczy nie będziemy trzymali się porządku, w jakim idą one w książce Durkheima, lecz pozwolimy sobie na pewną dowolność, wybierając tylko niektóre dziedziny oraz rozpatrując je w rozproszeniu, to znaczy: nieuwzględniając wzajemnego stosunku i doniosłości pojedynczych części.

I. *Socyologia kryminalna.*

Socyologia kryminalna jest dzieckiem Cezara Lombroso i kilku jeszcze innych badaczów włoskich. Uczeni ci usiłowali przedstawić zbrodniarza, jako specyalny gatunek człowieka cywilizowanego, posiadający właściwe sobie rysy nietylko duchowe, ale fizyologiczne i nawet anatomiczne. Zbliżano przestępcę z jednej strony do obłąkańca, z drugiej zaś — do dzikiego i dziecka. W pierwszej chwili kierunek ów odznaczał się krańcową jednostronnością i naciąganiem faktów: dochodziło do tego, że niemal zupełnie zaprzeczano wpływów ustroju społecznego, nie mówiąc już o innych niewłaściwościach Lombroso zagłuszył na razie wszelką krytykę nawałem faktów, lecz po pewnym czasie zaczęto roztrząsać materyał, zawarty w pracy jego, i spostrzeżono brak nietylko ścisłości, ale wprost sumienności. Rozpoczęto gromadzić dowody, wyświetlające sprawę, co potrzebowało czasu. Przedewszystkiem zaś kierunki, widzące w zbrodni wynik stosunków społecznych, jęły troskliwie sprawdzać założenia szkoły antropologiczno-kryminalnej. Powstał ruch w nauce dość żywy i studya nad światem zbrodni weszły na czas jakiś w modę, tem bardziej, że i wydawcy spostrzegłszy, iż czytająca publiczność dość łapczywie rozchwytuje prace tego rodzaju, okazali ze swej strony poparcie. Lecz w miarę badań podważano jedną po drugiej zasadnicze podstawy wywodów szkoły włoskiej. Zwrot ten uwydatnił się zwłaszcza w kilku ostatnich latach. Na kongresie w Genewie doszło do bardzo namiętnej utarczki pomiędzy Francuzami, którzy w zbrodni widzieli głównie wytwór stosunków społecznych, a Włochami, kładącymi nacisk na antropologicznych własnościach przestępcy. W Niemczech powstała cała szkoła krytyczna, która wkroczyła na pole studyów antropologicznych i tam wydała walkę doktrynie Lombrosa. Prace Kocha, Nae-

*) *L'annee sociologique.* Paryż u Alcana. str. 563

ckego, przedewszystkiem zaś Baera przyczyniły się do wyjaśnienia wielu zagadnień i przedewszystkiem rozświetliły kwestyę, czy godzi się traktować zbrodniarza, jako specyalny, odrębny gatunek człowieka cywilizowanego. Wreszcie i w samych Włoszech obudziła się reakcya, nowsi pisarze, jak Sighele, Ferrero, Ferriani odchylili się od mistrza niekiedy w najistotniejszych punktach.

Z pośród prac najważniejszych winniśmy wymienić książkę Corre'a, poświęconą etnografii kryminalistycznej; Ferrera, traktującą o moralności pierwotnej i atawizmie zbrodniczym; Ferrianiego i Morisona o przestępcach młodocianych, wreszcie Dallemagne'a o przymiotach anatomicznych, biologicznych i socyologicznych zbrodnictwa.

Antropologia kryminalna włoska, jakeśmy zaznaczyli, usiłowała przedstawić zbrodnię, jako wynik dziedziczności atawistycznej. Twierdziła ona, że zabójstwo, kradzież i wogóle cięższe występki stanowiły zjawisko codzienne w życiu pierwotnem i że dzicy mordują i grabią z jak największym spokojem ducha. Krytyka dość namiętnie zwróciła się przeciw temu poglądowi, przedstawiając fakty, iż mord i kradzież zdarzają się w społeczeństwie pierwotnem bardzo rzadko, rzadziej nawet, niż w tem, które wkroczyło na drogę cywilizacyi. Ferrero wystąpił w obronie twierdzeń szkoły włoskiej, jednocześnie poddając zmianie te punkty, które są niemożliwe nadal do utrzymania. Przyjmuje on założenie Cezara Lombroso, że natura zbrodniarza przedstawia płód atawizmu, lecz jednocześnie wykazuje, iż to cofnięcie się wstecz polega na nieposłuszeństwie prawu pracy i na nadmiernej pobudliwości. Jego zdaniem, popierwsze taka niecodzienna wrażliwość idzie zawsze w parze z nieudolnością do pracy ciągłej, systematycznej, powtóre zaś rozwój społeczny i psychologiczny tkwi w stwarzaniu zdolności napiętego, trwałego wysiłku i powściągów tamujących odruchowość. A ponieważ moralność, z punktu fizyologiczno - psychologicznego, wypływa z istnienia powściągów, powstrzymujących swobodną grę instynktów, przeto człowiek pobudliwy zawsze gotów popełniać czyny niemoralne, o ile będą działały dostatecznie silne pobudki. Rozumie się, natura nadwrażliwa niekoniecznie musi być zawsze złą, staje się taką dopiero przy niesprzyjających warunkach. Dzikie ludy mogą odznaczać się dodatnimi przymiotami, ale tylko dopóty, póki życie nie wystawi ich na próbę. W ten sposób fakty, świadczące o cnotach dzikiego, i twierdzenie, iż zbrodniarz dzisiejszy posiada usposobienie dalekiego praprzodka, bynajmniej nie znoszą się nawzajem. Dobór, dokonywany w ciągu wieków, w miarę jak społeczeństwo dzikie cywilizowało się, zmienił duchowość człowieka, pozostawiając tylko szczątki dawnego pokładu — nieliczne gromady osób niezdolnych do pracy. Nieumiejętność pracowania i wstręt do systematycznego wysiłku stanowią główny rys charakteru zbrodniczego, przestępca nie obawia się napięcia mięśni, ale nie jest zdolny trwale to robić, jak tego wymaga chociażby rolnictwo. Ferrero usiłuje pogodzić niektóre założenia szkoły włoskiej z faktami, przytaczanymi przez przeciwników, Corre natomiast poddaje je nieubłaganej krytyce. Na podstawie materyału egzotycznego, zebranego z kolonij francuskich, twierdzi on, że zbrodnie krwawe nie są wytworem niższego stanu społecznego, lecz niedomagań, które dotknęły życie gromadne. Rasy niższe bynajmniej nie wykazują wyjątkowo wyższej skłonności do mordów: murzyni afrykańscy i mieszkańcy N. Kaledonii popełniają mniej zabójstw, niż bardziej cywilizowane szczepy Indyj; jeśli zaś liczba krwawych przestępstw jest bardzo znaczna w Tonkinie, pochodzi to z powodów walk politycznych. Koloniści europejscy, osiedlając się w krajach zamorskich, oddziaływają jak najujemniej, obdarzają bowiem tuziemców wszystkiemi swemi wadami, nie przenosząc na nich ani jednej strony dodatniej. Natomiast wpływy klimatu na podniesienie zbrodnictwa wśród przybyszów nie mogą ulegać najmniejszej wątpliwości: pobyt w koloniach, zwłaszcza w porze chłodnej, rozstraja organizm i jednocześnie podnieca namiętności.

Prace Ferrianiego i Morisona dotyczą zbrodniczości wieku dziecięcego i młodocianego. Lombroso w dziecku widział zbrodniarza zarodkowego, który pozbywa się instynktów przestępczych w miarę dojrzałości. Ferriani, nie zrywając zupełnie z tem twierdzeniem, podważa przecież jego bezwzględność. Zaznacza on, że pozostawione samym sobie, namiętności powinny wyrostków doprowadzić do popełniania mordów krwawych i zgwałceń, tych właśnie zbrodni, które spotykają się coraz rzadziej. Raczej trzeba zbrodniczość młodego wieku, obfitującą w kradzieże i inne pokrewne występki, przypisać głównie wpływom otoczenia. Ferriani zbadał pochodzenie dwu tysięcy niepełnoletnich kryminalistów. W tej liczbie 701 wyszło z łona rodzin, cieszących się jaknajgorszą reputacyą, 53 żyło w otoczeniu zupełnie zniepravionem, 896 otrzymało w dzieciństwie przykłady jaknajgorsze, wreszcie 207 pochodzi od rodziców, sądzonych za zbrodnie; pozostaje nieznaczna liczba, której przeszłości nie wykryto. Douglas Morison wypowiada się w sposób jeszcze bardziej stanowczy. Zaznacza on, że wszędzie wzrost zbrodnictwa młodocianego idzie prędzej, aniżeli ludności: w Niemczech ta ostatnia w ciągu lat dziesięciu podniosła się o 30%, liczba zaś przestępców młodocianych o 50%, przyczem zjawisko to wiąże się jaknajściślej z rozwojem industryalizmu nowoczesnego. Rozbiór faktów doprowadza badacza angielskiego do wniosku, iż dziecko staje się zbrodniarzem nie dlatego, ażeby posiadało pobudliwość i instynkty niszczenia, jak niektórzy twierdzą; występki jego pochodzą nie z infantylizmu, lecz z wpływów otoczenia, nie są objawem konieczności psychologicznej, tylko faktem natury społecznej. Inteligencya młodocianego przestępcy bywa słabo rozwinięta, uczucia odznaczają się gburowatością, wola — niestałością. Jest to przedewszystkiem wyrzutek cywilizacyi, nie zaś człowiek dziki.

Prace Dallemagne'a są oparte na studyach Baera, który za wzorem szkoły włoskiej poddał zbrodnictwo analizie antropologicznej. Obaj doszli do wniosku, że pod względem anatomicznym typ przestępcy nie przedstawia osobliwych rysów, któreby uprawniły naukę do przyjęcia specyalnego gatunku: zbrodniarza. Wprawdzie posiada on pewne przymioty i właściwości, spotykane u niego częściej, niż w człowieku normalnym, są to jednak tylko oznaki zwyrodnienia, wspólne zbrodniarzom z innemi kategoryami. Ponieważ zbrodnia stanowi objaw natury duchowej, przeto typ występny, jeżeli istnieje, powinien ujawniać się w budowie mózgu. Tymczasem dotychczas nie spostrzeżono żadnej wyraźnej a stałej nieprawidłowości w objętości mózgu, a jeżeli pewne odchylenia zdarzają się nawet, nie są one takiemi, ażeby dawały podstawę dla nakreślenia jakiegoś typu. Natomiast poszukiwania fizyologiczne i socyologiczne bardziej obfitują w stanowcze rezultaty. Przed okiem badacza powstaje nie typ zoologiczny, lecz moralno-społeczny, uwydatniający swoją naturę nie w rysach twarzy i postawie ciała, lecz w postępowaniu i zachowaniu się względem społeczeństwa. Zbrodniarz jest przedewszystkie i człowiekiem nieprzystosowanym do wymagań życia cywilizowanego. Naturalnie, nie wszyscy nieprzystosowani stają się przestępcami, natomiast wszyscy przestępcy odznaczają się takiem nieprzystosowaniem. Piętnu socyologiczne występują zawsze na podłożu fizyologiczno-duchowem. W wyznaczaniu tych rysów Dallemagne zgadza się ze szkołą włoską. Na pierwszem miejscu stawia on mniej rozwinięty mechanizm czuciowości, tj. zbrodniarz jest zdolny do mniejszej liczby uczuć, a jednocześnie taka niedoskonała wrażliwość idzie w parze z niezmierną pobudliwością, wybuchającą za lada powodem. Wstręt do pracy systematycznej i nieudolność przewidywania dalszych następstw, brak uwagi i wynalazczości, nieobecność zmysłu moralnego stanowią wybitne rysy duchowości zbrodniczej.

Tak się przedstawiają główne rezultaty dorobku naukowego na polu socyologii kryminalnej w ubiegłym roku. Wymieniliśmy tylko te prace, które wniosły coś nowego czy to pod względem faktycznym, czy też co do oświetlenia znanych już faktów. Atoli przyczynki do kryminologii, które ukazały się w rozpatrywanym okresie czasu, są o wiele liczniejsze, jako też obszar poruszonych zagadnień daleko rozleglejszy. Moglibyśmy wskazać jeszcze wyczerpującą pracę Durkheima nad samobójstwem, Tarde'a rozprawę o zbrodniczości zawodowej (specyalnie rejentów z uwagami dotyczącemi podłoża fachowego wogóle), Sighelego o przestępczości właściwej sekciarstwu wszelkiego rodzaju, Floriana i Cavaglieri'ego pierwszy tom psychologii i socyologii włóczęgów, Ferriego o zbrodni w sztuce. Po za tem w *Roku socyologicznym* znajdujemy streszczenie lub ocenę wielu prac mniejszego znaczenia: o stosunku pomiędzy wychodźtwem a zbrodniczością, o zbrodniczości kobiet, wpływie alkoholizmu itd. Wogóle dorobek naukowy na polu antropologii kryminalnej należy względnie do działów najlepiej uposażonych.

L.

LITERATURA I SZTUKA.

O DRAMACIE.

Jednym z najpotężniejszych przejawów sił zwartości społecznej i sympatyi jest sztuka, a głównie dramat. Pochodzenie jego przedstawiam sobie w sposób następujący. Ludzkość pierwotna składała się przeważnie z gromad mocno zbitych w kupy. Zwartość społeczna wyrażała się tu w sposób bezpośredni wspólną pracą, wspólnem spożyciem, wspólnemi zabawami, a głównie gromadnem obcowaniem płciowem. Sympatya nie jest czczem słowem, lecz potężną, żywiołową siłą, która w tych grupach pierwotnych przejawiała się z zupełną oczywistością.

Rozwój późniejszy techniki i bogactwa zamaskował jej istnienie.

A jednak pierwotne siły sympatyi przez to nie znikły. Znalazły one tylko inne ujście w mistycyzmie i sztuce, które pierwotnie jak najściślej wiązały się z sobą w dramacie, a raczej w jego zaczątkach, w misteryach.

H. R. Marshall w ciekawej pracy, umieszczonej w piśmie filozoficznem angielskiem *Mind* p. t. „The religions instinct,“ bardzo słusznie wykazuje, iż wraz z rozwojem pobudek osobniczych instynkty społeczne zagrożone zostają i dlatego

musi powstać regulator, któryby jedno i drugie utrzymywał w należytym do siebie stosunku. Regulatorem tym ma być, według Marshalla, religia — co jest niewątpliwie słusznem — ale jest nim także, dodajmy od siebie, sztuka.

Odepchnięte, pod wpływem rozwoju techniki, uczucia sympatyi, niemogące przejawić się w życiu codziennem, pod groźbą sarkazmu lub bardziej rzeczywistych porażek w walce o byt, znajdują ujście i kulturę należytą w religii i sztuce. One są idealnem odtworzeniem tej atmosfery, tego obcowania wszystkich ze wszystkimi, jakie społeczeństwo pierwotne przedstawiało.

Okazaliśmy niedawno na tem miejscu, jak głębokie pokrewieństwo łączy płciowość z mistycyzmem i estetyką *). Na tym gruncie czysto materyalnym rozwinęło się jednak obcowanie bardziej idealne, gdyż każdy członek społeczeństwa pierwotnego przyjmował najżywszy udział w uczuciach, myślach i wogóle wszystkich interesach każdego innego.

Wskazane powyżej warunki uczyniły później te przejawy sympatyi niemożliwymi, ale pierwotne jej źródła biją jeszcze we wszystkich piersiach, jakkolwiek wszyscy zmuszeni są przez okoliczności zewnętrzne do zajmowania się tylko sobą, każdy z osobna.

Gdy przechadzam się po ulicy śród ludzi zajętych wrzekomo tylko swymi interesami, zakłopotanych, niepatrzących na siebie lub spoglądających jedni na drugich z obojętnością — widzę jasno, iż w piersiach ich zawarte są potężne siły, któreby w stanie były zbić ich znowu wszystkich do kupy, wszystkie te biedne, dwunogie zwierzęta, tak wystraszone tajemnicą bytu, wroga, śmierci. Obejmowaliby się wszyscy ze łzami w oczach, jak starzy znajomi, spotykający się ponownie po długiem rozłączeniu, wypytywaliby się wzajemnie o uczucia, myśli i sprawy z najgoretszem zajęciem, zupełnie jak w gromadach pierwotnych. Ale zimna rzeczywistość staje między nimi w postaci żołnierza, rozdzielającego Konrada i ks. Piotra i woła: Nie wolno, każdy w swoją drogę!

Zaisto, o każdym nieznanym człowieku tej samej, co my, rasy, możemy powtórzyć wraz z Konradem:

Rzecz dziwna!.. Nie widziałem nigdy tej postaci:
A znam go jak jednego z mych rodzonych braci,
Czy to we śnie?... Tak, we śnie; teraz przypomnia-
[łem sobie.

Istniejemy wszyscy od czasów nieokreślonych. Przed dziesiątkami tysięcy lat żyliśmy w wielkich gromadach i przenosiliśmy na wszystkich członków gromady, do której należeliśmy, uczucia jak najgorętszej sympatyi i miłości, wyrażającej się materyalnem dzieleniem się z nimi i obcowaniem. Później uczucia te były szczute, prześladowane, społeczeństwo zaczęło spoglądać na nie, jak na uczucia prostytutki, dzielące się na wszystkich bez wyjątku i różnicy. Między nami i bliźnimi stanęły odzież, godność, dystynkcya, wstyd. A jednak uczucia te istnieją we wszystkich piersiach, tylko nie mogąc znaleźć otwartego zaspokojenia, szukają ukrytego i wstydliwego, w sztuce, a głównie w teatrze.

Tu na chwilę odzyskujemy dawną zwartość społeczną, gromadzimy się razem, wypytujemy się nawzajem o wszystkie nasze nędze i cierpienia, ronimy łzy jedni nad drugimi, padamy sobie idealnie w objęcia. Na chwilę kora i skorupa ran, zadanych naszym uczuciom społecznym przez życie, spada, odtwarzamy dawny, doskonały stan obcowania i tej atmosfery uczuciowej, w której ludzkość pierwotna żyła. Stara, zapomniana, zerwana znajomość znowu zostaje nawiązana.

Teatr wyzyskuje więc te uczucia społeczne, które natura w czasach przedhistorycznych, a może i zoologicznych w nas włożyła. Rozwój społeczny zrobił z tych uczuć, w ich przejawach pierwotnych, coś w rodzaju brzydkiego nałogu, z którym należy się ukrywać, a jednak one domagają się wyładowania żywiołów; odbywa się zaś ono z tą samą nieświadomą obłudą, która każe nam najlepsze nasze wzruszenia wyszydzać, przykrywać maską interesu lub drwinami. Do teatru ciągniemy wszyscy, jak pijak do szynku, aby zaspokoić trawiące nas pragnienie miłości— i najbardziej eleganckie panie i najbardziej modni panowie idą tu w tym samym celu, w jakim nieszczęśni jacyś Tunguzi zbierają się w zakopconej jurcie przy łuczywie, zasiadając na ziemi, jedni przy drugich, aby czuć się jak najbliżej i wszyscy razem.

Ta elementarna potrzeba obcowania społecznego może się stać zamaskowaną: sądzimy, iż udajemy się do teatru dla zadowolenia miłości własnej i wyśmiewania innych. Jest to jednak tylko pozór: nawet w gromadach pierwotnych miłość własna członków oddzielnych istniała i na pewno wyśmiewali przy sposobności jedni drugich. Co jednak z czasem znikło, to pierwotna zwartość i ją to staramy się odtworzyć teatrem.

Wyśmiewanie i okrutność gromad społecznych zwracane były na gromady obce, wrogie, a także na własnych swych członków, o ile byli szkodliwi. Ale nawet te zjawiska były przejawem sił zwartości społecznej. To też komedya, przedstawiając wady ludzkie, wyśmiewając je z moralnego punktu widzenia, bynajmniej nie może być uważana za wyraz ludzkiego okrucieństwa, lecz owszem za wyraz tendencyj społecznych.

Nie rozumie tego znany krytyk francuski, Emil Faguet, ktory w ostatniem swem dziele. *Drame ancien, drame moderne* (Paryż, 1898) powiada:

„Nie należy twierdzić, aby przyjemność, którą od komedyi otrzymujemy, była oparta na sympatyi człowieka dla człowieka. Jest ona oczywiście oparta na okrucieństwie. Złośliwiec, potwarca, okrutnik i człowiek, lubujący się w komedyi, powinni być postawieni w tej samej kategoryi moralnej.“ Trudno o pogląd bardziej powierzchowny! Z tego, że pszczoła ma żądło, nikt jeszcze nie wywnioskował, aby ona była istotą okrutną i złą. I owszem, żądło służy jej dla celów solidarności społecznej. Otóż komedya po wszystkie czasy kąsała wady i nałogi z punktu widzenia dobra społecznego. Właśnie śmiech i komedya są jednym z najpotężniejszych wyrazów zwartości i zarazem środkiem obcowania społecznego: wszyscy śmiejący się czują swą solidarność wobec jakiejś wady lub zła, które należy wytępić. Tak pszczoły używają żądeł wobec napastnika, który wtargnął do ich ula.

Ale Faguet posuwa się jeszcze dalej, twierdząc, że nawet na dramat i tragedyę człowiek udaje się tylko po to, aby widzieć cierpienie i na tem oprzeć swą przyjemność. Gdyby teorya ta była słuszną, to na tragedyach widzielibyśmy tylko ludzi promieniejących szczęściem i zadowolonych. W rzeczywistości jednak widnak głęboko wzruszonych i płaczących, jakkolwiek ukrywających po największej części swe łzy.

W istocie i na komedyi i na dramacie szukamy obcowania z ludźmi i tego wyładowania uczuć społecznych, które już w życiu rzeczywistem stało się niemożliwem, niedozwolonem, dzięki czemu nawet w teatrze staramy się wzruszenia swe ukrywać. Jest to obłuda spotęgowana przez cywilizacyę do najwyższego stopnia i tę obłudę Faguet przyjmuje za rzeczywistość. Dlatego dochodzi on do tak paradoksalnego dylematu: „spotkać nieszczęście, nie szukając go i być niem wzruszonym jest uczuciowem, ale szukać widowiska nieszczęścia, chociażby nawet dla płakania z jego powodu, jest zepsuciem, okrucieństwem.“

Jest to raczej oddalonym odgłosem tego przyjmowania do serca cudzych nieszczęść, tego ścisłego obcowania, którem grupy pierwotne się odznaczały. Tylko że zakres sympatyi tych ostatnich nie wykraczał po za obręb danej gromady. Obecnie sympatye się rozszerzyły i stały się bardziej oderwanemi, ale źródło ich jest wciąż toż samo. W miarę tego, jak pierwotna zwartość społeczna była rozdzierana przez życie, instynkty społeczno-płciowe wysubtelniały się coraz bardziej i szukały ujścia w religii i sztuce I one to stanowią najpotężniejszą idealną więź społeczeństw historycznych. Z tą tylko różnicą, że jeżeli w pierwotnych gromadach każdy członek mógł bezpośrednio zaspakajać swe sympatye społeczne aktami prostymi, materyalnymi, niewykraczającymi po za ich obręb, to dla zaspokojenia ich postaci wyidealizowanych, występujących w wielkich związkach historycznych siły umysłowe zwykłych śmiertelników stały się niedostateczne.

Ta praca idealizacyi społecznej i syntezy umysłowej przypadła w udziale rasom wyższym, zwykle samotnym. W ten sposób urzeczywistnił się ten paradoks socyologiczny, iż syntezy uczuć społecznych w wielkich zbiorowiskach ludzkich dokonywają typy nie społeczne, pierwotnie samotne. Gdyż nie ma się czego oszukiwać: między rozwojem uczuć społecznych a rozwojem umysłowości istnieje antyteza w każdym gatunku. Weźmy przykład. Słonie żyją bądź stadami, bądź samotnie. Te ostatnie stają się zwykle wodzami tamtych, odznaczając się daleko większą odwagą i inteligencyą. Oto co w tej kwestyi powiada najlepszy ze znawców słoni, pułkownik Sanderson *): „Większość przypuszczalnie samotnych słoniów, których się zwykle spotyka, to wodzowie stad znajdujących się zwykle niedaleko. Opuszczają gromadę, aby zwiedzić okolice nieznane, dokąd mniej śmiałe samce i samice z potomstwem nie odważają się iść za nimi. Zdarza się także, iż przedsiębiorą te wyprawy przez smak samotności.“ Otóż pod względem rozwoju umysłowego nie może być porównania między tymi dwoma rodzajami słoniów. Stadne są, zdaniem Sandersona, tchórzliwe i dość ograniczone, przy wielkiej solidarności, samotne natomiast odważne, przebiegłe i złe. Widzieć to można z następującego przykładu: dla schwytania stada buduje się zwykle przy końcu drogi, którą ono ma przejść, opłotki, dokąd słonie wchodzą. Zdaniem atora, mogłyby je rozwalić jednem pchnięciem, nie mają jednak na to ani dość odwagi, ani inteligencyi. Tylko wódz zwykle je łamie w jednem miejscu i uchodzi, a nieraz udaje mu się pobudzić stado i pociągnąć je za sobą — choć nie zawsze. Tu mamy przykład, w małych rozmiarach, tej syntezy, którą sprawia geniusz. Także sama różnica istniała między stadem a wodzami w ludzkości pierwotnej. Potomkowie tych wodzów, samotni, źli, odważni i przebiegli, to są właśnie geniusze ludzkości historycznej, twórcy w dziedzinach czynu, myśli i sztuki, rozdrobnieni krzyżowaniem na mniejsze lub większe talenty, w specyalnych sferach dokonywający drobniejszych syntez. Faguet zupełnie słusznie utrzymuje: iż dramat jest najwyższą syntezą sztuki, wymaga potężnego geniusza syntezy artystycznej. Do kwestyi tej przejdziemy osobno.

*) Por. „Ideał i piękno,“ Prawda z r. 1897.

*) *Thirteen Years among the Wild Beests of India.*

Tu tylko jeszcze zauważymy, iż w interesach społeczeństwa jest zachowanie i typów stadnych i samotnych. Przyczem należy raz na zawsze się wyrzec nadziei, iż te ostatnie staną się stadnemi, a zachowają swój geniusz twórczy. My zwykłego garba wyprostować nie możemy, a cóż dopiero zmieniać te skamieniałości odwieczne, jakiemi są genIusze! Społeczeństwa będą więc musiały obliczyć, co jest dla nich dogodniejszem: albo mieć wyższą kulturę, przystosowując się do geniuszów, albo też niższą bez nich.

Dr. L. Winiarski.

LITERATURA POLSKA.

Aleksander Mańkowski: *Moja Helenka.* Powieść współczesna. Petersburg, K. Grendyszyński, str. 327. — Stanisław Pilecki: *Dzieje małżeńskie.* Powieść. Warszawa, G. Centnerszwer, str. 262.

Powieść wogóle, a zwłaszcza powieść współczesna, do niedawna była u nas przeważnie odtworzeniem gruchań miłosnych, mających doprowadzić bohatera i wybrany przezeń, a wyposażony we wszelkie zalety ideał niewieści — do kobierca ślubnego. Powieściopisarz, przeprowadziwszy parę swoją, lub par kilka przez Scyllę i Harybdę wszystkich możliwych przeszkód, kończył opowiadanie na progu małżeńskiej komnaty, wmawiając niejako w naiwnego czytelnika, że ona właśnie jest tą wymarzoną przystanią, zapewniającą bezpieczne schronienie błędnym nawom dusz ludzkich, skołatanym burzami miłości na bezgranicznym oceanie życia. I wytwarzała się tym sposobem między obu stronami szczególnego rodzaju gra w ślepą babkę, w której umyślnie odwracano wzrok od pewnych rzucających się w oczy objawów, a niektórych stron życia nie dotykano wcale, przypuszczając zgóry na kredyt, że o nich, jak o przysłowiowych narodach szczęśliwych, historyk nic nie ma do nadmienienia...

Jeżeli dzisiaj okres wszechwładztwa Num i Pompiliuszów niezupełnie jeszcze przeminął w naszej twórczości powieściopisarskiej, jeżeli nawet pierwszorzędne talenty kojarzą po dawnemu w mniej lub więcej sympatyczne stadła Kmiciców z Oleńkami, panów Stachów z Maryniami, lub Winicyuszów z Lygyami, to jednak obok tego coraz wyraźniej występować zaczynają prądy nowe, pod których wpływem powieściopisarze usiłują bądź zupełnie, jak Prus w „Faraonie,“ obejść się w swych utworach bez podkładu erotycznego, bądź przynajmniej, jak Sienkiewicz w „Rodzinie Połanieckich,“ przenieść jego punkt ciężkości na okres poślubny, nawiązując nić głównej intrygi powieściowej w tym psychologicznym momencie, w którym ją przedtem zwykle przerywano. Zrozumiano, że miłość płciowa, a zwłaszcza miłość w swym pierwszym, przedślubnym okresie, to tylko jeden z licznych epizodów naszej ziemskiej wędrówki, nie najważniejszy i nie najciekawszy bynajmniej, że po za nią istnieje w życiu ludzkiem całe morze zjawisk, w równym przynajmniej stopniu zasługujących na uwagę powieściopisarza i dopraszających się jego pióra.

W analizie wzajemnego stosunku dwu płci, małżeństwa w żaden sposób uważać nie można za jakiś akt kresowy. Jest ono zaledwie zakończeniem pierwszego, najbardziej może dla patrzących z boku szablonowego, najbardziej stereotypowego rozdziału, stawiającego nas wobec szeregu ciemnych znaków zapytania i zagadek, których rozwiązanie znaleźć dopiero można w dalszych rozdziałach wielkiej księgi życia. Powieściopisarz więc, poprzestający nawet wyłącznie na malowaniu tego stosunku, musi mieć dzisiaj odwagę przejścia przez zaklęty Rubikon małżeństwa, nad którym zatrzymywano się dotąd, i zajrzenia w oczy rzeczywistości, odartej ze zwykłych konwencyonalnych osłonek, które długo lubiano u nas rozciągać wstydliwie nad wszelkiego rodzaju — „dziejami małżeńskiemi.“

P. Aleksander Mańkowski od pierwszych występów swoich na niwie literackiej wyróżnił się wśród szarej masy braci po piórze, jako pisarz szczery, niecofający się przed zanurzeniem sondy krytycznej w nasz zbolały organizm społeczny. Znany lepiej, jako komedyopisarz (dwa jego utwory dramatyczne, „Minowskiego“ i „Dziwaka,“ odznaczono w swoim czasie na konkursach), niż jako beletrysta w ściślejszem tego słowa znaczeniu. Już w pierwszej powieści swojej, p. t. „Pan August,“ zwrócił uwagę na pewne starcia dramatyczne, wypływające z instytucyi małżeństwa w jej obecnem stadyum. Występując świeżo po kilkoletniem milczeniu z nową powieścią współczesną, treść jej osnuwa również na tle stosunków małżeńskich, przedstawiając niejako fatalne następstwa i skutki złego wyboru dozgonnej towarzyszki życia.

Bohater „Mojej Helenki,“ p. Marcin Szaracki — to zdrowa natura szlachecka, zlekka tylko pociągnięta pokostem cywilizacyi, ale z gruntu zacna i prawa. Nieszczęściem jego życia jest to, że spotkał na swej drodze pustą, bezmyślną lalkę i zimną kokietkę w osobie panny Heleny Maślickiej, decydującej się po długim namyśle wyjść za niego z obawy przed ponurem widmem nędzy i staropanieństwa, i że na tak niepewną kartę rzucił bez wahania cały kapitał swej pierwszej i jedynej miłości. Ryzyko było zbyt wielkie. To też pan Marcin, zaślepiony miłością a niezdolny do opanowania charakteru żony, podniesienia jej ducha lub przynajmniej zajęcia jej swoją osobą, wcześniej czy później musiał się doczekać przegranej i nieodłącznego od niej bankructwa moralnego. Pani Helena, po licznych przygodach miłosnych z księciem Rodrygiem-Emanuelem i szeregiem jego następców, zrujnowana również fizycznie i moralnie, powraca wprawdzie w końcu do dzieci i męża, aby, uzyskawszy przebaczenie, umrzeć w kraju, u swoich, których tak lekkomyślnie porzuciła — i tą śmiercią przedwczesną, poprzedzoną szczerą skruchą, w części przynajmniej okupuje swe winy—niemniej jednak niedołężny, zdziecinniały wskutek tych przejść Marcin, umiejący tylko po śmierci żony wyliczać z uwielbieniem jej cnoty i zaczynający każdą rozmowę słowami „moja Helenka,“ nie zdoła już do końca podźwignąć się z przygnębienia i upadku, w którym z daleka nawet nie przypomina dziarskiego, czupurnego, a tak sympatycznego chłopca z pierwszych rozdziałów powieści.

Te pierwsze rozdziały aż do dziewiątego włącznie, w których poznajemy Marcinka w mundurku gimnazyalnym, luźnym dosyć węzłem łączą się z dalszą treścią utworu, stanowiąc niejako wstęp, czy prolog do niego. Nie będąc jednak niezbędnemi w powieści, z takiem życiem i prawdą malują postać buńczucznego gimnazisty, z takiem ciepłem rysują serdeczny stosunek między Marcinkiem a jego zacnym ojcem, że za włączenie ich do powieści czytelnik może być tylko wdzięczny autorowi.

Weźmy np. chociażby tę scenę, pełną prostoty i jakiegoś chwytającego za serce uczucia, gdy Marcinek po wakacyach, odwieziony do szkół przez starego ojca, rozpakowując swoje manatki, spostrzega pomiędzy chustkami do nosa jakąś cudzą, starą, w jednem miejscu przetartą i dziurawą:

— To chustka ojca — pomyślał z rozrzewnieniem. Teraz noc, a pan Maciej jedzie i jedzie. Dzwonek dzwoni jednostajnie, dokoła ciemność, ledwo widać drogę. Pan Maciej zmęczony bardzo, ale jedzie, całą noc jechać będzie i cały dzień i znowu całą noc — nie tak, jak kiedy odwozi Marcinka. Wtedy się zawsze nocuje. Przynoszą do pokoju siana, pan Maciej sam je przetrząsa, układa, sam ściele prześcieradło, pochyla się i męczy, byle tylko Marcinkowi było wygodnie, a potem mówi:

— *En un mot*, panie Marcinku, wszystko gotowe!

Boże, jaki ten ojciec dobry! jak Marcinek go kocha, jakże mu za nim tęskno!.. I tuli do twarzy dziurawą chustkę ojca, całuje ją, wącha, czy nie pachnie fajką pana Macieja. Wargi zaczynają mu drgać, oczy mrugają, nos ściska się i roztwiera... I płacze, bo mu bardzo smutno na świecie, bo tak żałośnie tam dzwoni ten pocztowy dzwonek wśród nocy, na stepie szerokim... szerokim.“

Trudno w sposób prostszy, a równie dobitny zarazem, zaakcentować gorące uczucia ojcowskiej i synowskiej miłości, których pełne były te dwa szczerozłote serca, ukryte zresztą pod grubą dosyć i niewypolerowaną powłoką zewnętrzną.

I w dalszych rozdziałach powieści spotykamy sporo dobrych scen i pojedynczych ustępów, do których zaliczyłbym przedewszystkiem te, gdzie autor kreśli z satyrycznem zacięciem napuszone sylwetki różnych półpanków i dorobkiewiczów w rodzaju Tombakowskich, Podmabońskich lub Maślickich. Lecz w przeprowadzeniu akcyi powieściowej, w malowaniu charakterów i sytuacyj razi wogóle pewna powierzchowność, wskutek czego niektóre rozdziały „Mojej Helenki“ sprawiają takie wrażenie, jak gdyby to były dopiero pierwsze, od niechcenia naszkicowane rzuty, a nie pojedyncze części należycie przetrawionego, opracowanego i artystycznie wykończonego dzieła. Na takiem powierzchownem traktowaniu rzeczy tracą głównie pierwszoplanowe postacie książki — Marcin i Helenka, niezarysowujące się w wyobraźni naszej dosyć plastycznie i rażące przytem pewną niejednolitością. Młody Marcinek z pierwszych rozdziałów i późniejszy Marcin Szaracki, uległy i zakochany do szaleństwa małżonek przewrotnej Heleny — to w gruncie rzeczy dwie całkiem odrębne postacie, między któremi jedynym prawie łącznikiem jest wspólne nazwisko i imię. Postać Marcina została przytem pod pewnymi względami zanadto upośledzona przez autora, że przypomnimy tu tylko jego co najmniej dziwne zachowanie się wobec czarów przyrody włoskiej, na które pozostaje ślepy i obojętny, nie mogąc tylko oprzeć się napadom i ordynarnym wylewom złego humoru, wywołanym faktem niewątpliwym, że uroczy Neapol — to nie Michałówka...

Gorzej jeszcze wychodzi Helenka. W duszy jej dokonywa się szereg przewrotów, młoda kobieta stacza się niemal na dno przepaści i o własnych siłach próbuje się stamtąd wydobyć; trwa to całe miesiące i lata, a na odmalowanie tych wszystkich walk i przemian wystarcza autorowi kilka niewielkich stroniczek. Nic dziwnego, że przerzucając je, musimy powątpiewająco wzruszać ramionami, bo jednak są granice, po za któremi czytelnik ma prawo nie wierzyć powieściopisarzowi na słowo.

Drugorzędne postacie powieści wywierają wogóle dodatniejsze wrażenie. Zasługują wśród nich na uwagę sympatyczne sylwetki pana Macieja Szarackiego i hr. Roshalskiego, oraz traktowana wogóle z pewną przesadą, przechodzącą chwilami w karykaturę, ale w wielu szczegółach wyborna para małżeńska państwa Maślickich, rodziców żony Marcina.

Autor, jak się zdaje, czuje pewną słabość do t. zw. „prawdziwych panów," których zresztą przedstawia w nieco ironicznem oświetleniu, i do zwyczajnego gminu szlacheckiego, niewybiegającego myślą daleko po za granice własnego folwarku; nienawidzi natomiast wszelkiego strojenia się w cudze piórka i w powieści swej karci ostro pyszałkowatość, zarozumiałość i głupotę różnych przedstawicieli „świeższej arystokracyi" z Lolem Tombakowskim na czele.

Z całego utworu przegląda nie nowa, ale słuszna myśl, że jeżeli wogóle orzeł z gęsią nie mogą uchodzić za dobraną parę i wzorowego stadła nie utworzą nigdy, to z małżeństwa wołu ze sroką mniej jeszcze bywa pociechy...

(D. n.).

Władysław Bukowiński.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚĆ. P. Heyse: „Błękitna pończoszka" (168 str.). E. Wende.

HISTORYA LITERATURY. P. Chmielowski: „Obraz literatury polskiej," z. 12.

— W. Gostomski: „Historya literatury powszechnej," z. 9.

ENCYKLOPEDYE. „Encyklopedyi rolniczej" z. 75; Orgelbranda z. 29; ilustrowanej Arcta z. 30.

POEZYE. Ludwik B: „Poezye" (137 s.). Leppert.

PODRĘCZNIKI. H. Esclair: „Recueil de lettres en les differentes circonstances de la vie" (288 str.).

HUMOR. H. Lero: „Żydowski humor ludowy" (70 str.). N. Cohn. Książeczka ciekawa, ale na rachunek humoru żydowskiego zapisano tu anegdoty skądinąd znane.

PUBLICYSTYKA. F. Piotrowski: „Czem jest posąg?" (15 str., 5 kop.).

— Ks. W. M. Dębicki: „Przyszłość Chin — groźne wnioski z przeslanek lekceważonych," z ilustracyami (192 str.). Gebethner i Wolff.

POEZYE

Z cyklu „Pastele."

BAJKA.

Gdzie w skry dyamentów pozłocista zorza
Przemienia falę, co się wartko toczy,
Na grzywii kwiecie, wśród wodnych przezroczy,
Królowa-bajka w śnie spoczywa hoża.

Woda się pali od złotych warkoczy,
W nurtach się kąpią błękitów przestworza,
A fala płynie, aż do głębin morza,
Snuć opowieści o bajce uroczej.

Lecz cicho... Oto oponą perłową
Wieczór pokrywa toń. Blady sierp księżyca
Lekko przecina mgły i bladolica
Liliowe ręce splótłszy po nad głową
Budzi się Bajka, cichych wód siostrzyca.
— „Cóżeś widziała, królowo?"

Już nenufary pochyliły skronie,
Rdzawe swe kiście opuściła trzcina,
Zmilkły szuwary, zamilkła głębina
I wszystkie wiry, co w jej wrzały łonie.

Niebo gwiazdami z ciekawości płonie
I ze skupienia ciemnieć już zaczyna,
Księżyc ciekawie z za chmur się przegina
I srebrzy tonie.

A ona biała, jak lilia w woale
Mgieł owinięta, ciche tonie pieści
I drżą rozkoszą i wdzięczą się fale
I bór zazdrosny z daleka szeleści.
Lecz cicho... Warkocze odrzuca niedbale,
Zaczyna swoje powieści.

Maryan Tatarkiewicz.

W DALI.

Zgierz. Fabrykanci miejscowi wystąpili z prośbą do General-Gubernatora warszawskiego o wyjednanie w ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdzenia ustawy „Towarzystwa wzajemnej pomocy w m. Zgierzu." Opierają oni swoją prośbę na motywach następujących: W miastach fabrycznych, jak Łódź, Zgierz, Pabjanice, istnieje zwyczaj, iż fabrykant, pragnąc pozyskać pracownika w danym fachu, jak np. farbierza, majstra tkackiego itp., zwraca się zwykle do pośrednika, który za swe usługi pobiera 100 do 300 rubli. Takież wynagrodzenie otrzymuje pośrednik i od poszukującego pracy. Pośrednictwo, to pomijając stronę materyalną, nie zawsze daje rękojmię moralną dla rekomendowanego, gdyż pośredniczący więcej ma na względzie niezadowolenie stron interesowanych, żeby po upływie pewnego czasu znów żądały jego usług. Skutkiem tego często się zdarza, że pośredniczący sam stara się po kilku miesiącach odmówić pracownika, ofiarując mu korzystniejsze zajęcie, za co naturalnie każe sobie znów sowicie płacić. Zresztą na byt pracownika wpływają takie czynniki, jak nadprodukcya, ulepszona technika wytwórstwa danej gałęzi przemysłu, zmiana cła ochronnego dla towarów zagranicznych, nie mówiąc już o częstych nieszczęśliwych wypadkach w fabrykach i wogóle krótszej lub dłuższej chorobie pracownika. Wszystko to bezpośrednio bardzo niekorzystnie odbija się na stanie materyalnym pracownika fabrycznego i częstokroć wtrąca go w nędzę, od której pomoc doraźna, w skromnych nawet rozmiarach, mogłaby go wybawić.

Petersburg. *Wiestnik Finansów* zamieścił sprawozdanie z dotychczasowej, kilkomiesięcznej działalności kuratoryów trzeźwości głównie w guberniach północno-zachodnich (litewskich). Kuratorye powstawały tam wszędzie już w sierpniu i wrześniu r. z., na trzy miesiące przed wprowadzeniem monopolu. Komitety powiatowe gub. Mochylowskiej zwróciły szczególną uwagę na okres branki i, urządzając na ten czas dla ludności przyjezdnej, w miejscach poboru, herbaciarnie, kuchnie, przytułki noclegowe, oddały istotną korzyść mieszkańcom; wszystkie te urządzenia w dodatku opłaciły się sowicie. Wogóle herbaciarnie zajmują naczelne miejsce w programie czynności kuratoryów. Przeważnie są one urządzane w mieszkaniach wynajętych, gdyż do budowy własnych domów pewne komitety dopiero teraz się zabierają. W niektórych powiatach herbaciarnie się nie opłacają (Dźwińskim i Mohylowskim), lecz w większości przeciwnie, zyski przynoszą, jak np. w Rzeczyckim, Pińskim, Klimowickim, zwłaszcza zaś w m. Dryssie. Organ urzędowy podkreśla powodzenie odczytów publicznych dla ludu i pogadanek religijno-moralnych, urządzanych przez komitety z udziałem duchowieństwa i nauczycieli wiejskich. Wnosi, z rozporządzenia okręgu naukowego wileńskiego, iż „sprawa odczytów ludowych w szkołach wiejskich będzie traktowana na wielką skalę." Szczególnem powodzeniem cieszyły się zabawy, urządzane dla ludu w czasie świąt — na placach miejskich: gonitwy, słupy itd., a po wsiach także tańce. Sprawozdanie zaznacza jednocześnie, iż nie wszędzie jeszcze kuratorya zdołały działalność swoją rozwinąć. „W miejscowościach, niemających dotąd herbaciarni, włościanin czy to w drodze, czy po przybyciu do miasta, poprostu nie ma schronienia, pije więc na drodze, często wprost z butelki, czyli nad miarę, upija się łatwo, wódka skarbowa bowiem jest o wiele silniejsza." *Wiestnik* dochodzi do wniosku, że monopol bynajmniej nie zmniejszył produkcyi browarów. Zresztą nie było to w widokach rządu, który zachęca nawet do tej produkcyi, czego dowodem szereg rozporządzeń, wydanych ostatnimi czasy, a mianowicie: 1) urządzenie składów hurtowych piwa, zarówno jak i handel na zewnątrz ze sklepów piwnych zgoła nie powinny być ograniczone; 2) pozwolenia na urządzanie sklepów piwnych z handlem na miejscu powinny być wydawane przeważnie właścicielom browarów lub dzierżawcom; 3) raz wydane pozwolenie nie ulega odnawianiu; 4) dla zapobieżenia monopolowi pozwolenia na sklepy i składy mają być wydawane zarówno browarom miejscowym, jak i zamiejscowym."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Według zapewnień rady państwa, kobiety-lekarze, zajmujące urzędy lekarskie, korzystają ze wszystkich praw, służących lekarzom-mężczyznom, oprócz wynoszenia do rang, noszenia munduru i otrzymywania orderów. Emerytura, otrzymana za osobistą służbę, nie ustaje w razie zamążpójścia. Dzieciom służy emerytura, jeżeli są zupełnemi sierotami lub jeżeli ojciec emerytury nie pobiera. Emerytura dla dzieci, jeśli ją pobierali ojciec i matka, wyznacza się odpowiednio do tej, która była wyższa. Prawo działalności lekarskiej służy wszystkim kobietom, posiadającym stopień lekarza.

— Zapowiedziano urządzenie szlacheckich kas wzajemnej pomocy.

— Wkrótce powstanie w Petersburgu instytut gleboznawstwa państwowego.

— Farmaceuci petersburscy poruszyli sprawę zmniejszenia liczby godzin pracy z 14-tu do 8-miu na dobę. *(Warsz. Dn.).*

Szkoły. Projekt budżetu politechniki warszawskiej obejmuje następujące posady: dyrektor, z pensyą 5,000 rs. rocznie, 2 dziekanów, 17 profesorów zwyczajnych, 8 nadzwyczajnych 13 laborantów. Na wynagrodzenie ich pracy budżet przeznacza rs. 57,300 rocznie.

— Poruszono sprawę zakładania szkół górniczych i niższych technicznych przy wielkich fabrykach i kopalniach, we wszystkich znaczniejszych okręgach przemysłowych i górniczych.

Zdrowie publiczne: *Kuryer Warsz.* donosi: „Badania mikroskopowe mięsa, czy nie ma trychin, wprowadzono dotąd w 28 miastach powiatowych. W Warszawie pod tym względem nic nie zrobiono. O ile jest pomyślna wiadomość, że prowincya, upośledzona pod względem urządzeń i zabiegów zdrowotnych, zaczyna wprowadzać tak ważną działalność, jak badania mikroskopowe mięsa, o tyle smutne stwierdzenie faktu, że w Warszawie pod tym względem nic nie zrobiono.

Wystawy i zjazdy. Między 20 a 30-ym sierpnia (st. st.) r. b. odbędzie się w Kijowie zjazd przyrodników i lekarzy, zamieszkałych w obrębie państwa rosyjskiego. Biuro zjazdu mieści się w gmachu uniwersyteckim.

— Dn. 29 b. m. otwarta będzie w Petersburgu wystawa koni.

— W r. p. między 13 a 28 maja urządzona będzie w Petersburgu powszechna międzynarodowa wystawa ptactwa.

— D. 24 b. m. odbędzie się w Moskwie zjazd przedstawicieli służby ruchu na kolejach, który między innemi ma roztrząsać projekt szkół dla pracowników kolejowych w wydziałach ruchu i projekt egzaminów dla kandydatów na wyższe posady. Ministeryum komunikacyi poruczyło starszemu inspektorowi kolejowemu opracowanie dla zjazdu referatu o przepisach, obowiązujących w powyższych przedmiotach na kolejach saskich.

— W Petersburgu odbędzie się zjazd lekarzy kolejowych w połowie czerwca.

Koleje i komunikacye. Według zapewnienia *Syna Ot.*, wkrótce na wszystkich kolejach ma być wprowadzona podwójna kontrola biletów: stacyjna i konduktorska. A więc nowe zatamowanie ruchu na stacyach i utrudnienie dla podróżnych!

— W ministeryum komunikacyi będzie roztrząsane w czerwcu sprawa przeciążenia pracą urzędników kolejowych.

— *Pet. Wied.* donoszą, iż rozstrzygnięto ostatecznie sprawę budowy kolei z Łodzi do Kalisza kosztem skarbu.

— Otwarto nową kolej Grodzieńsko-Suwalską.

— Inż. Henrykowi Hussowi i adw. przys. Juliuszowi Rodysowi wydano koncesyę na budowę i eksploatacyę kolei wązkotorowej od Klaryszewa (w gminie Jeziorna pow. Warszawskiego) przez wsie: Jeziornę, Skolimów i Chylice do osady Piaseczna. Nadto pozwolono otworzyć ruch na ostatnim

dystansie, świeżo zbudowanym od Piaseczna do wsi Gołków, położonej o 9 wiorst w kierunku Grójca.

— Do ministeryum wniesiono podanie o zatwierdzenie ustawy „Warszawskiego Towarzystwa budowy dróg dojazdowych.“

Przemysł i handel. Ministeryum rolnictwa uwzględniło starania Towarzystwa rybackiego o otwarcie oddziału w Warszawie.

Wypadki. W Słucku wielki pożar zniszczył 400 domów. Prawie co rok miasta i miasteczka litewskie ulegają tej klęsce, a pomimo to dotychczas nie obmyślano żadnych środków bezpieczeństwa. W roku przeszłym spaliła się znaczna część Nieświeża, przeważnie dzielnica uboga. Stąd wzrosła nędza straszna.

Zmarli. Karol Gresser, oberpolicmajster m. Warszawy.

— M. A. Wizbek, w Warszawie, właściciel księgarni nakładowej.

Odpowiedzi Redakcyi.

Dr. Z. D. (S. G.) w Krakawie. Artykuł wydrukujemy. O ile nam wiadomo — nie wyszła.

„Lek.“ Dziwnie nieszczęśliwe porównanie wybrał Pan za osnowę wiersza. Jeżeli Pana ogarnia taki „lęk,“ jak łanię, kiedy zobaczy rogacza, to nie warto się skarżyć.

Zofii. Sama oceniła Pani sprawiedliwie swój wiersz. Niestety, „poczciwa myśl“ w „kulawej formie“ nie tworzy poezyi.

M. M. w B. Kilkoletnie doświadczenie przekonało, że owa instytucya do takiej cyfry dojść nie może. [illegible]

OFIARY.

Dla syna Junoszy: Lekarz R. W. rs. 1; Lekarz Br. S. rs. 1; Lekarz J. R. rs. 1 — z gubernii Połtawskiej.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 8 Мая 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.